ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 6. 6. II. 1937

w numerze:

L. CHRZANOWSKI
NA PLACU ŚWIĘTEGO PIOTRA

■

ST. MARZYŃSKI
TWÓRCZOŚĆ ARCHITEKTONICZNA CZESŁAWA PRZYBYLSKIEGO

■

POŁÓW PEREŁ

■

Z. NORBLIN-CRHZANOWSKA
GOŚĆ Z HOLANDJI

■

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA
PAŁAC Z CHIŃSKIEJ PORCELANY

■

G. OLECHOWSKI
ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW
POWIEŚĆ

■

B. KUTNERÓWNA
PRZYDROŻNY KWIAT
(nowela)

■

TEATR – FILM – KSIĄŻKI

TRZEBA WYZYSKAĆ TEN KRÓTKI KARNAWAŁ

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII. Nr. 6 6. II. 1937

L. CHRZANOWSKI.

NA PLACU ŚWIĘTEGO PIOTRA

(WSPOMNIENIA Z PRZED 15 LAT)

Dnia 6 lutego 1922 roku po czternastu gosowaniach, 53 kardynałów, stanowiących ostatnie Conclave, wyznaczyło następcę Benedykta XV-ego. Był nim kardynał Achilles Ratti, który obrał sobie imię Piusa XI-ego.

Dziś, kiedy cały świat katolicki z radością obchodzi piętnastą rocznicę pontyfikatu Piusa XI-go, kiedy cały ten świat z troską, niepokojem, trwogą spoglądał ku Watykanowi, gdzie od 4-go grudnia wśród niesłychanych cierpień zmagał się z chorobą Ojciec Święty, dając przykład niezwykłej cierpliwości i wytrzymałości — spójrzmy nieco wstecz i przypomnijmy sobie dzień owego Conclave i parę dni, które poprzedziły objęcie steru barki Piotrowej przez kardynała Rattiego — Piusa XI-ego.

Byłem wówczas jedynym dziennikarzem polskim w Rzymie. Ostatnie dni Benedykta XV-ego, Conclave i objęcie Stolicy Apostolskiej przez Piusa XI-ego były dniami i nocami nietylko wytężonej pracy zawodowej, ale również niezapomnianym okresem wielkich wydarzeń, które się po wieloletniej działalności publicystycznej nie zacierają w pamięci.

Wybór Conclave, który padł na kardynała Rattiego, był niespodzianką dla wielu — ale niewątpliwie największą dla samego wybranego. Kardynał Achilles Ratti był bowiem jednym z najmłodszych — zaledwie parę miesięcy nosił on purpurę kardynalską, kiedy zamknęły się za nim wrzeciądze Spiżowej Bramy Watykanu.

Różne były wpływy, nastroje i tendencje na tym Conclave — ale nim do ich przypomnienia przystąpimy — spójrzmy na plac Świętego Piotra. Przez cztery dni bez przerwy plac ten zalegało mrowie ludzi. Od rana — do późnego zmierzchu plac zapełniał się tłumem. Dwukrotnie obradowali codzień kardynałowie. Od dziewiątej rano do 12-ej i od drugiej do wieczora. Czternaście „sfumat" uleciało ze specjalnego komina watykańskiego, trzynaście razy czarnym kolorem dymu sygnalizując zebranym tłumom, iż głosowanie nie dało wyniku, że Papieża jeszcze nie obrano.

Na placu, pod kolumnadą Berniniego, koło wesołej fontanny tworzą się grupy i grupki. Ludzie przychodzą z krzesełkami, kto ich nie ma, może sobie wynająć od przekupniów. Zamożniejsi zajeżdżają dorożkami — słynnemi „carozzellami" rzymskiemi. Wyjmują dzienniki — czytają, lub stawiają horoskopy, gwarząc z dorożkarzami — „vetturinami". Ci w sprawach Conclave mają niejedno doświadczenie i wiele do powiedzenia. Poczciwy człapak tymczasem drzemie godzinami lub... traci głowę w worku z obrokiem. Sprzedawcy gazet przebiegają przez plac. Coraz nowe wydania przynoszą coraz nowe wiadomości z Conclave. Jakto? Przecież Conclave jest tajne, ultratajne! A mimo to gazety włoskie obfitowały w „niedyskrecje", wersje, przypuszczenia.

Różne to były wersje. Kto choć cokolwiek obznajmiony jest z metodami i środkami jakimi rozporządzają dziennikarze i korespondenci zagraniczni, tego nie zdziwi, że zawsze i wszędzie posiadają oni informatorów. Co prawda czasem informacje te bywają dość dowolne — ale zawsze niemal bardzo ciekawe.

Wśród tych wersji, nie było oczywiście nic z tajemnic i fragmentów narad kardynalskich — były jednak często wydedukowane prawdopodobieństwa. Ot np. wszystkich interesuje zapytanie, jak długo potrwa Conclave? A tu dziennik zbliżony do sfer katolickich, do partji „popolarów" i potężnego wówczas we Włoszech księdza Don Sturzo „Popolo Romano", publikuje nowinę, że Conclave napewno potrwa długo, ponieważ otrzymujący bezpośrednie zlecenia od kardynała Sekretarza Stanu Gasparriego intendent watykański —w dniu dzisiejszym ze sztabem kuchmistrzów udał się na miasto, by poczynić nowe zakupy żywnościowe dla kardynałów. Nic

Bóle reumatyczne
artretyczne newralgiczne
usuwa szybko przez zwykłe wcieranie
Balsam Bengalski
karpińskiego

dziwnego, że następne wydanie „Il Mondo", ukazujący się w dwie godziny po „Popolo Romano" — rozwija już tę wiadomość, zgodnie ze swym radykalnym programem — pisząc o tarciach i trudności porozumienia wśród członków Conclave.

A któż nie wiedział, że zasadniczo inny pogląd na niezbędne walory przyszłego papieża mieli dwaj wybitni kardynałowie Gasparri i Merry del Val? Przecież dwa zasadnicze kierunki ówczesne: modernizacji, czynnego udziału w życiu społecznym i politycznym a z drugiej strony pewnej ascezy, odgradzania się i zagłębienia przedewszystkim w wartościach nieziemskich — miały jeszrze przed Conclave zwolenników i szermierzy zdecydowanych. Wiedziano że pewna grupa kardynałów chciała nawrotu do stosunków z czasów uwielbianego, pełnego niezwykłej chrześcijańskiej prostoty Piusa X-ego. Inni znów sięgali po wzory Leona XIII, Benedykta XV-ego. To były rzeczy wszystkim znane, ogólnie omawiane.

Na wielkim placu Św. Piotra przebywali setkami księża, prałaci, dyplomaci, lud rzymski, dziennikarze z całego świata — a każdy coś wiedział, coś komentował. A wszyscy ci ludzie mieli jakieś kontakty z Watykanem. Gwardja szwajcarów papieskich i ich oficerowie mieli bliskich znajomych wśród dziennikarzy szwajcarskich. „Guardia Nobile" — arystokracja włosko-papieska, zakony—to wszystko były opinje wyrobione i aktywne. Ich poglądy pragnęły rozpowszechnienia, szukały same drogi do prasy. Rodziny kardynałów nie wzdragały się również dzielić wiadomościami i opinjami swych dostojnych krewnych, jakie wypowiadali oni, zanim „zamurowali się" na tajnych obradach Conclave.

W tej atmosferze, w tym nastroju nic dziwnego, że udzielano sobie wzajemnie informacji, dyskutowano, komentowano.

Obok czasu trwania Conclave — drugi był stały znak zapytania: czy mógłby być wybrany papież — cudzoziemiec? A dalej konsekwentnie zagadnienie: jeżeli tak, to który z kardynałów zagranicznych posiada taki nimb, aby mógł przełamać tradycję papieża - włocha? Zastanawiano się wówczas nad czcigodnym,

Ojciec Święty Pius XI.

czczonym przez cały świat w czasie wojny belgijskim kardynałem Mercier.

I logiczne pytanie dalsze: czy kardynałowie - cudzoziemcy będą głosowali solidarnie, czy raczej niezależnie w pojedynkę, przyłączą się do tej lub innej tendencji?

Conclave w roku 1922 odbywało się przed dojściem do władzy faszyzmu. Zagadnienie więc, który z kardynałów - włochów zasiądzie na Stolicy Apostolskiej, poruszało obok najwyższych walorów osobistych jeszcze sprawę palącej „kwestji rzymskiej".

Wybitna grupa kardynałów była za reprezentantem najostrzejszego kursu wobec Włoch, które przez „kwestję rzymską" uczyniły Namiestnika Chrystusowego — więźniem Watykanu. Inni pragnęli iść po linji znalezienia wyjścia i modus vivendi. Powszechnie np. było wiadomo, że kardynał Gasparri był przeciwnikiem sięgającego po władzę faszyzmu. Że don Sturzo i partja popolarów byli ramieniem potężnego kardynała — Sekretarza Stanu.

Wiedziano również, że kardynał Merry del Val był zdecydowanym przeciwnikiem tej pośredniej ingerencji w polityczne sprawy Włoch. Różnica poglądów tych dwuch potentatów kurji stwarzała znów dwa zasadnicze kierunki. Powszechnie przeto sądzono, że indywidualności tych dwuch wybitnych kardynałów nadają ton Conclave.

Nic więc dziwnego, że gdy oficer gwardji Szwajcarów Papieskich w rozmowie z dziennikarzem — rodakiem „mimocho-

Na Placu Świętego Piotra gromadziły się tłumy, czekając na wynik Conclave. (Fot. Bruni).

dem" zauważył, iż dnia tego kardynał Merry del Val odwiedził parokrotnie kardynałów cudzoziemców: Bisletiego, van Rossum, Mercier — to już zaczynano lansować wersję o... intensywnej akcji kardynała Merry del Val wśród kardynałów nie-włochów.

I znów rozmowny (nawet gadatliwy) oficer Guardia Nobile, siostrzeniec jednego z kardynałów, hrabia X., dał się „wyciągnąć na słowa" i niebacznie zaznaczył, że widział bardzo zasępionego i w złym humorze kardynała Gasparri. Wówczas francuscy dziennikarze, nie żywiący doń specjalnej sympatji dedukowali i rozwijali tezę „o trudnościach jakie napotykają plany kardynała Gasparri". Inna znów rzecz, że o możliwościach wyboru kardynała Gasparri rozprawiała prasa popolarów i dziennikarze niemieccy zbliżeni do Centrum— a o kardynale Merry del Val gorąco pisała prasa hiszpańska i prasa południowych republik Ameryki.

W tym nastroju, wśród komentarzy, plotek i gadaniny upływały godziny na placu San Pietro. Trzynaście razy czarny dym — „sfumata" oznajmiał, że komentarze mogą się nadal szerzyć i rozwijać.

Jednak po dziesiątej „sfumacie" cztery nazwiska dostojników kościoła zaczęły krążyć coraz uporczywiej. Były to nazwiska: Maffi, Ratti, Laurenti i Tazzi.

Kardynałowie Ratti i Maffi mieli najgorętszą, najżywszą sympatję mas włoskich. Patrjotyczne kazania kardynała Maffi, mądrość, prostota i wypowiedziane w Medjolanie słowa uznania o sile narodowego ruchu faszystowskiego i o Mussolinim przez kardynała Ratti'ego, sprawiły, że masy włoskie obu tych dostojników kościelnych ochrzciły mianem „najbardziej narodowych kardynałów".

— To właśnie uniemożliwi ich wybór — dowodzili zwolennicy popolarów, pragnący widzieć raczej mniej aktywnego, bardziej abstrakcyjnego papieża, niż kardynałowie Ratti i Maffi.

Na temat wyboru kardynała Rattiego, powtarzano jego rozmowę, jaką miał w przeddzień rozpoczęcia Conclave ze swym przyjacielem, słynnym archeologiem Bonim — (tym, który odkopał niemal całe Forum i Palatyn i którego kardynał Ratti odwiedził był właśnie w domku wśród róż na Palatynie).

— Moim pragnieniem, moim szczęściem — powiedział do Boniego kardynał — byłoby być ubogim proboszczem gdzieś wysoko w górach. Byłbym bliżej Boga.

Kiedy jeden z pisarzy obecnych przy rozmowie rzucił nieśmiało „A gdyby Wasza Eminencja została Jego Świętobliwością?" — wówczas kardynał Ratti miał z żywością zawołać: „Co też pan mówi! Ja — Papieżem? Ja w białej szacie? Ja zamknięty w Watykanie? Chciałbym to widzieć!" — wykrzyknął niemal z ironją.

Ta wersja kursowała po placu San Pietro również. Dzięki niej może w ostatnim dniu Conclave nazwiska kardynałów Maffi i Tazzi podawane były z coraz większą pewnością.

Aż przyszedł ten poranek lutowy, kiedy nad Watykanem uniósł się w niebo nie czarny dym „sfumaty"—lecz biały dym, oznajmiający zebranym tłumom, iż tym razem — w czternastym głosowaniu — Conclave osiągnęło rezultat. Osierocony Tron Piotrowy miał następcę.

Tłum na placu San Pietro ogarnęła radość. Oczekiwano ukazania się w Loggii nad głównym wejściem kardynałów i owego radosnego oznajmienia „Habemus Papam".

Dziwnie długo trwało to oczekiwanie. Po przeszło pół godzinie ukazali się wreszcie heroldzi w historycznych strojach, oraz kardynał dziekan Vanutelli. Zanim jednak to nastąpiło — już doszła na plac wieść, że nowy papież sam wkrótce ukaże się i pobłogosławi zebranych na Placu! Oczekiwanie stawało się coraz bardziej nerwowe. Dziennikarze włoscy i korespondenci zagra-

niczni czynili wysiłki, aby już zdobyć nazwisko kardynała, który stał się papieżem. Bo każda minuta była droga! Dla prasy włoskiej każda minuta stanowiła o specjalnym wydaniu dodatków nadzwyczajnych. Dla korespondentów zagranicznych — o zdobyciu pierwszeństwa telefonu i telegrafu, o zwyciężeniu kolegów, a jednak konkurentów...

W tej pracy — walce powstały w ciągu tych dni różne „koalicje" koleżeńskie, różne „zjednoczenia" dziennikarskie. Pracujący pojedyńczo musiałby przegrać. Znalazłem się w grupie, gdzie korespondenci „Petit Parisien'a", „Times'a", „Christians Monitor" i „Liberté" wiedzieli, że dziennikarz polski nie jest dla nich konkurencją, a mimo wszystko może im być pomocnym.

Czekaliśmy więc na placu. Ale nie wszyscy. Korespondent „Times'a" był w sali telegrafu, miał w ręku pięć gotowych depesz. Trzeba było wpisać tylko nazwisko kardynała i imię, jakie wybierze nowy papież. Korespondent „Liberté" — umieścił się w sali telegrafu tuż przy telefonie. Przy najbliższym telefonie, w jednej z restauracji w okolicy placu San Pietro, wisiał amerykanin z „Christians Monitora". Na placu pozostaliśmy we dwuch — jeden z korespondentów „Petit Parisien'a" i ja.

Inne „ekipy" pracowały podobnie, choć mniej precyzyjnie... Bo naszym ukrytym współpracownikiem był również... siostrzeniec kardynała, hrabia X.

Nim jeszcze padły z Loggii urzędowe słowa, nadbiegł do nas drugi korespondent „Petit Parisien'a" i tajemniczo podał nam nazwisko nowego papieża. Pędem pobiegł do wartownika naszego przy telefonie — i podana telefonicznie wiadomość dotarła pierwsza do naszych kolegów w sali telegraficznej. Błyskawicznie wpisali oni nazwiska do naszych depesz i poszły one — jako pierwsze — z nazwiskiem kardynała Ratti!

Ale to nie był koniec. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie imię papieskie wybierze nowy Ojciec Święty. Czekaliśmy więc na placu.

I wówczas z Loggii padły słowa: „Annuncio vobis gaudium magnum. Habemus Papam!". A dalej przyszło oznajmienie, że kardynał Achilles Ratti zasiądzie na Stolicy Apostolskiej jako Pius XI-y. Stałem już na stopniach samochodu. Nasze telefoniczne połączenie znów pracowało — ale trzeba było upewnić się, że nic nie zawiodło i zawiadomić naszych kolegów z sali telegraficznej, że za kilkanaście minut po raz pierwszy od roku 1870-ego Papież ukaże się wiernym tłumom osobiście.

Rozpoczął się szalony wyścig samochodów dziennikarskich. Pędziłem. Ale z tym spokojem, że nasze depesze poszły już w pięć stron świata i że wiozę już tylko wieści uzupełniające.

Po kilkunastu minutach gnaliśmy we czterech z powrotem do Watykanu, aby ujrzeć nowego Papieża, aby złączyć się z kolegą, co tam pozostał na warcie.

Na moście Cavour minęły nas samochody, naładowane specjalnym wydaniem dziennika „Il Mondo". Chwytamy ów nadzwyczajny dodatek. Miał na pierwszej stronie olbrzymi portret — i wiadomość, że papieżem został... Kardynał Tazzi!

Zimny pot wystąpił nam na czoła.

Zwyciężyliśmy! Wyprzedziliśmy wszystkich! Ale widocznie przesłyszeliśmy się — podaliśmy kogo innego!

Na szczęście auto nasze wpadło już na plac. Tam przekonaliśmy się, że omyłkę popełniliśmy nie my, lecz „Il Mondo", którego samochody z dodatkiem jak niepyszne zmykały już z placu Św. Piotra.

Jeszcze chwila — i oto w białej szacie w Loggii, błogosławiąc zebranym, ukazał się Pius XI-ty, tak niedawno jeszcze kardynał Ratti. Tłum padł na kolana.

Wszyscy z radością i zaufaniem patrzyli w górę. Patrzyli na papieża, o którego mądrości, woli, wielkiem wykształceniu i wybitnym charakterze tyle wiedziano z tak świetnej karjery eklezjastycznej i politycznej

Piętnaście lat temu z radością tłum rzymski witał Tego, o którego los tak niedawno trwożył się, a na cierpienia jego patrzył z współczuciem i miłością.

ZE ŚWIATA

Min. Goering z małżonką, podczas swej ostatniej wizyty w Rzymie na placu Świętego Piotra.

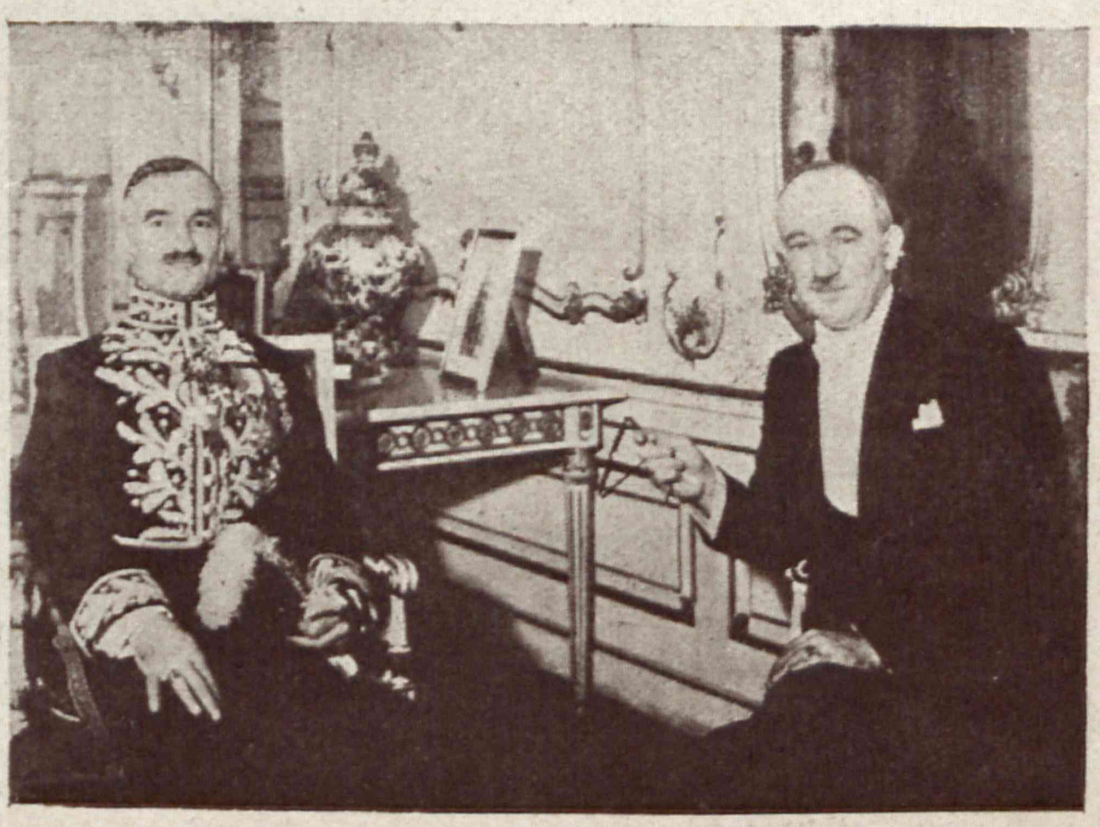

Nowomianowany poseł R. P. min. Pappé, po wręczeniu listów uwierzytelniających prezydentowi Czechosłowacji E. Beneszowi.

INŻ. ARCH. ST. MARZYŃSKI

TWÓRCZOŚĆ ARCHITEKTONICZNA CZESŁAWA PRZYBYLSKIEGO

Mija obecnie rok od śmierci Czesława Przybylskiego. Nasuwa nam to potrzebę przypomnienia Jego twórczości architektonicznej oraz niezwykle silnej i zasłużonej postaci.

Pomniki architektoniczne znaczą stale, od zarania dziejów, historję kultury i postępu ludzkości, stanowią o wyglądzie i charakterze osiedli, miast i całych krajów. Na wszystkich więc, którym dane jest tworzenie architektury, ciąży odpowiedzialne zadanie wobec teraźniejszości i przyszłości.

Przybylski był w pełni tej odpowiedzialności świadomy; miał talent przenoszenia na rysunek swych wyobrażeń i wizji, przeczuwał ich zrealizowane trwałe formy, znał skalę architektury w stosunku do jej otoczenia, znał potrzeby i dążenia współczesnego życia. Został dzięki tym zaletom powołany do wzniesienia kilku kapitalnych budowli, głównie w Warszawie.

Jednym z pierwszych dzieł Przybylskiego, wysuwających się do dziś dnia na czoło Jego twórczości jest gmach Teatru Polskiego. Ukończony w 1912 roku nie stracił nic ze swych wysokich walorów kompozycyjnych. Mimo wielkiego postępu, jaki zarówno budownictwo jak i potrzeby widowisk poczyniły w ciągu ostatnich lat, stoi on wciąż w rzędzie najlepszych budynków teatralnych Europy. Wartość Teatru Polskiego polega na subtelnym wyczuciu proporcji widza w stosunku do wielkości i wysokości wnętrza oraz na idealnym stosunku otworu scenicznego do widowni, co jest uzupełnione spokojnym i harmonijnym opracowaniem wnętrz i doskonałą akustyką. Całkowita widoczność z każdego miejsca oraz łatwy i przejrzysty ruch w gmachu, co stanowi dziś samo przez się zrozumiałą konieczność, w czasie budowy było jeszcze rewelacją.

Teatr Narodowy, młodszy o ok. 10 lat od Polskiego, jest przystosowaniem spalonych murów Rozmaitości do współczesnych potrzeb. Brak było więc architektowi przy tej budowie całkowitej swobody rozporządzania przestrzenią. Mniej skupiony i mniej zwarty od Polskiego, jest przemyślany i wyposażony wspaniale, posiadając również wszelkie

Czesław Przybylski. *Gmach Teatru Polskiego w Warszawie*

Czesław Przybylski. *Ministerstwo Spraw Wojskowych.*

walory dla teatru potrzebne. Stanowi to niewątpliwą zasługę jego twórcy.

Gmach Cenralnego Towarzystwa Rolniczego jest wprowadzeniem dużej świeżości koncepcji do panującej ówcześnie w Warszawie maniery. Jest dyskretnie stylowy, jasny w planie i pełen umiaru.

Trudna przebudowa koszar litewskich na Ministerstwo Spraw Wojskowych, gdzie trzeba było wielkiego talentu dla wydobycia tak monumentalnych i silnych akcentów, jakiemi są poszczególne bramy, zespalające cały gmach, oraz Państwowa Szkoła Hygieny stanowią pewne zamknięcie okresu twórczości Przybylskiego, tak świetnie rozpoczętej gmachem Teatru Polskiego.

Przybylski z odwagą i ze świadomością zadań architekta, wymagających stałego podążania za prądami współczesnego życia, widzi konieczność przystosowania się całkowicie do prądów i potrzeb rozwijającej się w szybkim tempie techniki i do nowopowstających pojęć o budownictwie i o sztuce. Widzi konieczność wskazywania drogi dla ewolucji architektury polskiej, decyduje się śmiało i bez kompromisów na zmianę formy zewnętrznej swych dzieł.

Powstają pawilony Technologji Chemicznej i Elektrotechniki Politechniki Warszawskiej. Przejrzystość planów tych budynków, ich pełne światła wnętrza, są wzorem dla tego rodzaju gmachów i tak jak Teatr Polski przyczynił się do rozwoju naszej sztuki Teatralnej, tak nowe pawilony Politechniki Warszawskiej staną się niewątpliwie bodźcem i kuźnią rozwoju naszej twórczości naukowo technicznej.

Jednym z ostatnich Jego dzieł jest gmach Funduszu Kwaterunku Wojskowego na Krakowskim Przedmieściu — znów wybitny i stały akcent w organiźmie miasta, który przez długie lata znaczyć będzie pewną epokę.

Dworzec Centralny, którego projekt opracowany przed sześciu laty przez Przybylskiego jest stopniowo realizowany, stanowi przykład najbardziej podówczas nowocześnie pojętej koncepcji dworca przelotowego dla stolicy. Hale dworcowe, zarówno wewnątrz jak i zewnątrz, noszą cechy charakterystyczne dla okresu najbardziej dojrzałej i pełnej rozmachu twórczości Przybylskiego. Dla zrealizowania swej idei korzysta on z olbrzymich możliwości jakie daje konstrukcja stalowa i zastosowanie szkła i kamienia.

Przybylski tworzył — co zdawać się może dziwnym dla technika — w natchnieniu. Pracował z przejęciem i z pasją. Wychodziły wtedy z pod jego ołówka genjalne wprost szkice, z których każdy mógłby posłużyć za ramy wspaniałego oddzielnego pro

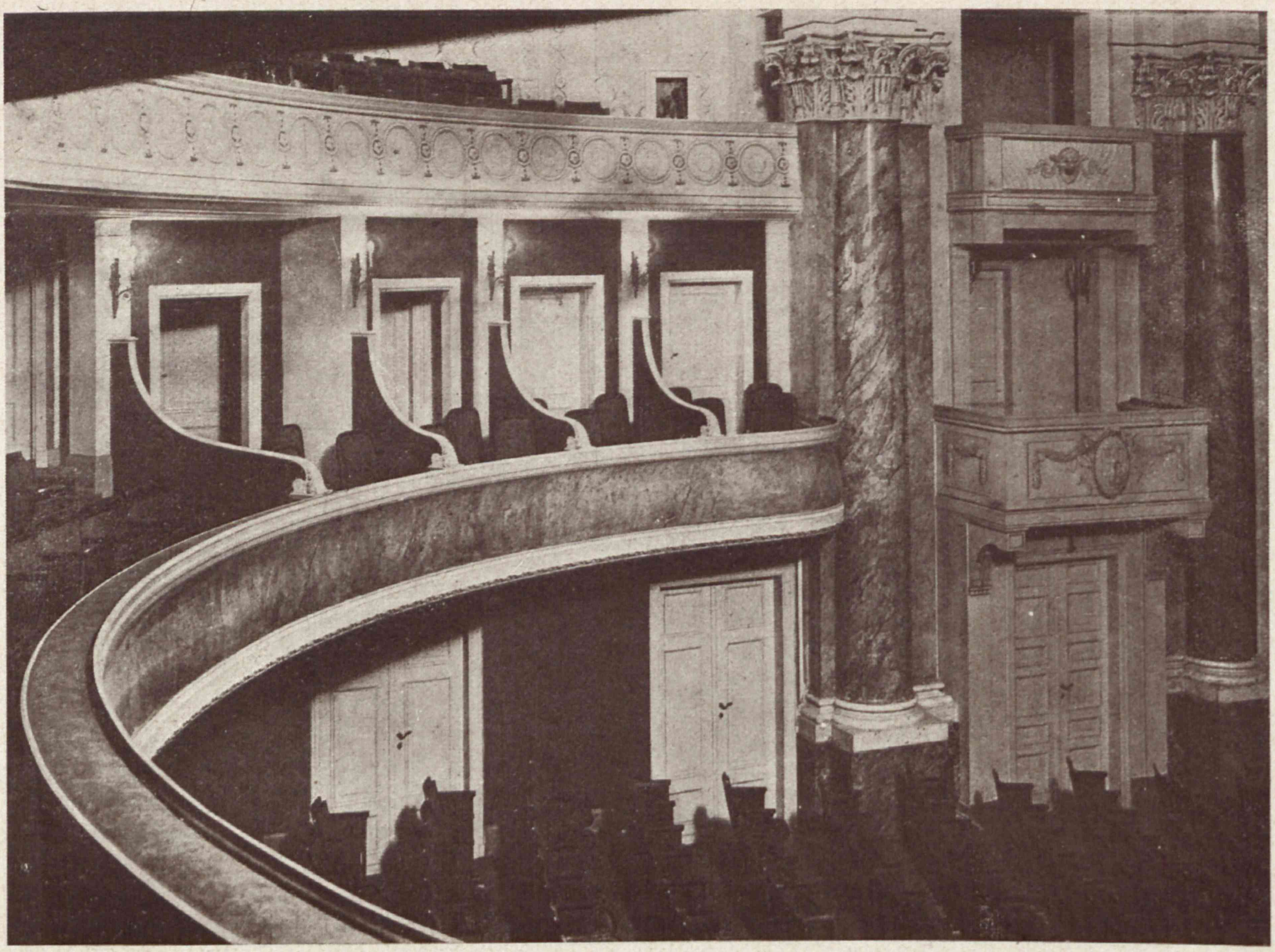

Czesław Przybylski. *Wnętrze Teatru Narodowego w Warszawie.*

jektu. Część ich tylko się zachowała, gdyż w swej skromności niszczył je. W tych szkicach pozostawił dowód swego wielkiego talentu twórczego*).

*) *Miesięcznik „Architektura i Budownictwo, zeszyt 8, 9, 10 rok 1936, obrazujący całokształt twórczości Cz. Przybylskiego z reprodukcjami kilkudziesięciu Jego szkiców projektów, i zrealizowanych budowli.*

Stworzył Przybylski dużo projektów, które nie doczekały się realizacji. Prace jego, wysyłane na liczne konkursy, były prawie bez wyjątku nagradzane. Do najciekawszych i najbardziej charakterystycznych należą projekty rozbudowy gmachu sejmowego, Archiwum Centralnego, Teatru w Łodzi, Gmachu Reprezentacyjnego w Łodzi, oraz Kościoła Opatrzności w Warszawie i Muzeum w Toruniu. Przybylski komponuje w planie i w bryle i operuje po mistrzowsku przekrojem, to znaczy całością przestrzeni wewnętrznej, objętej danym budynkiem; przykładem tego jest nietylko Teatr Polski ale projekt wielopoziomowy Dworca Centralnego i Kościoła Opatrzności, podzielonego na kościół dolny i kościół górny ze spiętrzoną nad niemi kopułą. Bryła zewnę-

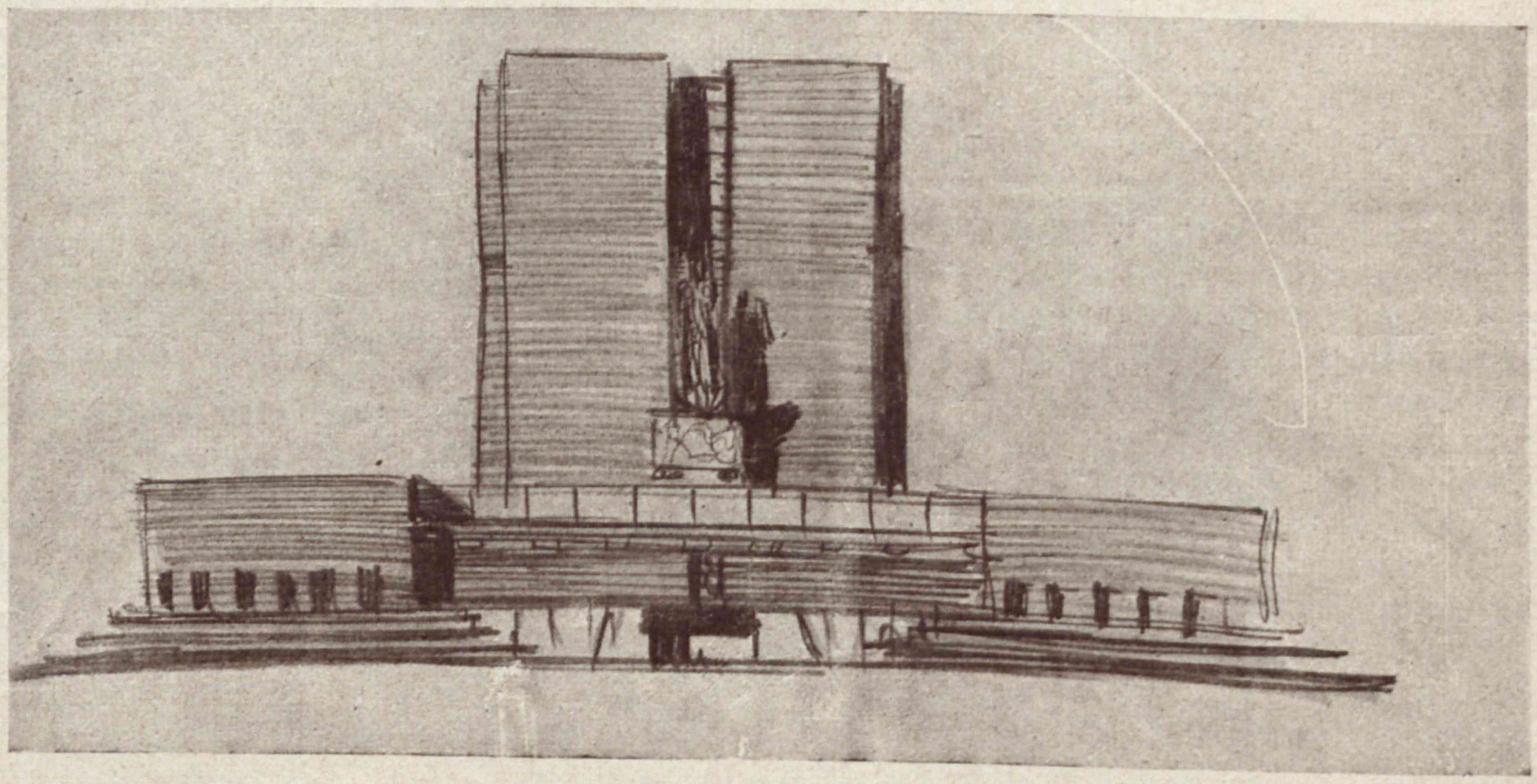

Czesław Przybylski. *Szkic do projektu Muzeum Ziemi Pomorskiej w Toruniu.*

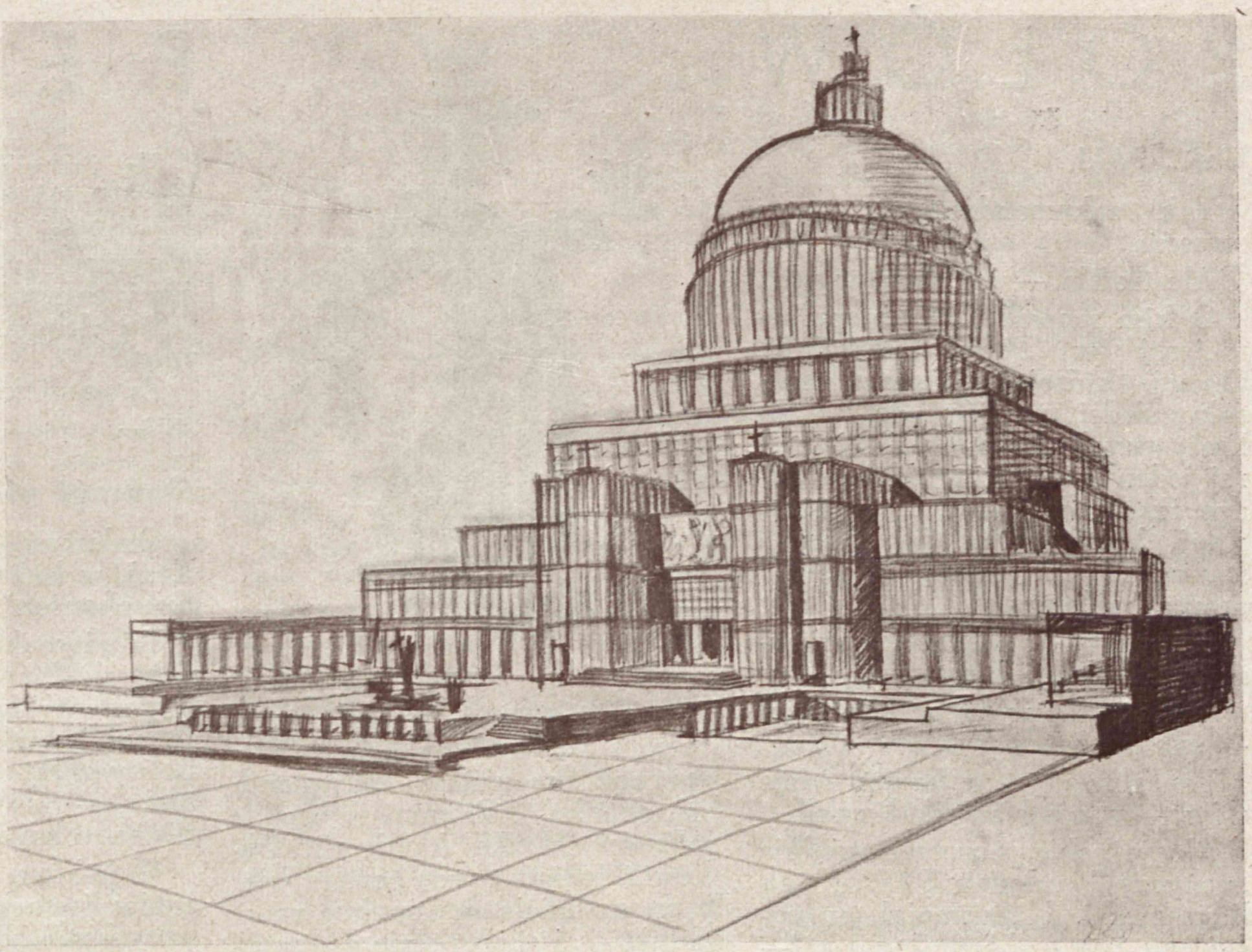

Czesław Przybylski. *Szkic do projektu Kościoła Opatrzności.*

trzna, również kilkoma poziomami łączy się z placem przed Kościołem, dając monumentalną i imponującą całość.

Przybylski był pedagogiem, przez to, że prowadził jedną z najbardziej odpowiedzialnych katedr projektowania na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej i przez swoją twórczość. Wśród studentów, którzy Go podziwiali i byli do Niego szczerze przywiązani, każdy Jego rysunek, każda nowa budowa były komenowane i brane za przykład. Jego pomysły i zapatrywania stanowiły temat do roztrząsań i były źródłem twórczości. Przybylski stworzył wśród swych uczniów bezimienną i podświadomą nawet szkołę; coraz więcej powstaje i powstawać jeszcze będzie w ciągu wielu lat nowych projektów i gmachów, noszących wybitne piętno Jego wpływu a tworzonych przez młodych architektów.

Czesław Przybylski umarł w 56-tym roku życia, w pełni sił. Powstała po Nim wielka luka. Zabrakło Architekta, Pedagoga i pełnego zalet obywatelskich i koleżeńskich Człowieka. Zostały Jego dzieła, a w nich wyrażona wybitna indywidualność, połączona wyczuciem ducha czasu.

Ilustracje do artykułu pochodzą z wydawnictwa „Architektura i Budownictwo".

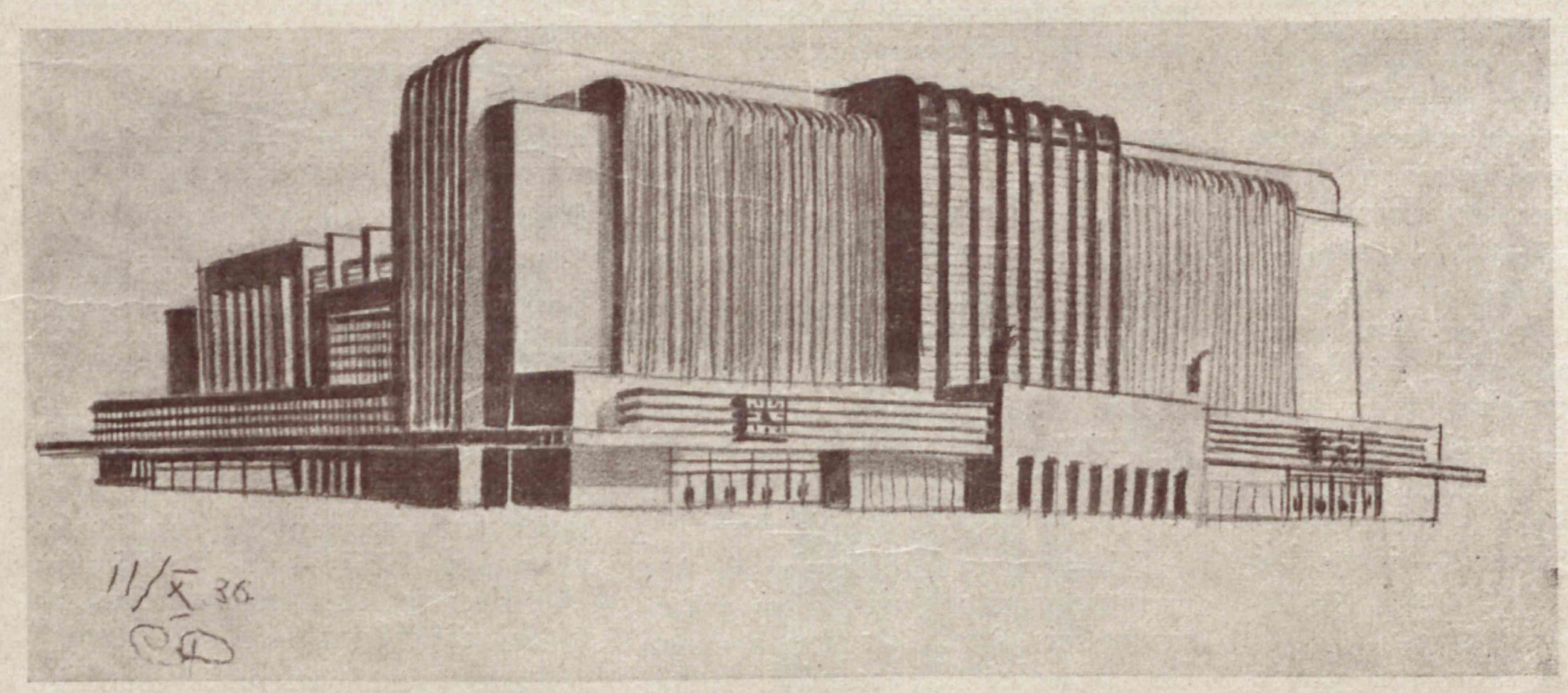

Czesław Przybylski. *Szkic do projektu Dworca Głównego w Warszawie.*

PO Ł Ó W

PERE Ł

Cel... PAL!

Tak zakomenderowała — i strzeliła...

Ale trafiła — jak kulą w płot.

O kim mowa? O najpopularniejszej w Polsce instytucji. O tej, której sekretarz generalny siedzi na Bóg wie ilu lukratywnych posadach, o tej, której jeden z członków włączał cudze teksty do własnych książek, o tej, która corok, jak mannę, spuszcza na łaknący naród deszcz bobkowy...

Słowem — o jędrzejewiczowskiej Akademji Literatury.

Jak zwykle w fachu pisarskim — *„na początku było słowo"*.

To „słowo" — a nawet wiele słów — napisał anglik Russell.

Ale je sobie bezceremonjalnie „pożyczył" członek PAL-u, pan Rzymowski. I zapomniał *„w pośpiechu pracy dziennikarskiej"* — WYDAJĄC KSIĄŻKĘ, NIE ARTYKUŁ GAZETOWY — zapomniał mój Boże, zaznaczyć, że całe okresy w tej książce są — *cudze.*

Niedyskretni — wywlekli. Opublikowali. „Podburzyli", proszę państwa, opinję... No i nie pozostało nic innego, jak — sąd koleżeński. W kółku rodzinnem. Słowem — w PAL-u.

Akademja ogłosiła więc, że zabiera się do tej sprawy.

„A potem długo, długo nic"... — jak śpiewał ongi Lawiński.

Nareszcie — w mękach zrodziła. Orzeczenie.

Wprawdzie P. A. L. plagjatem czynu Rzymowskiego nie nazwała, jednak zaopinjowała, że: *„zastosowane w tym wypadku metody pracy przez akademika literatury przyczyniają się do obnizenia powagi pisanego słowa"*.

Aby stwierdzić tę ostatnią prawdę, którą łacno wykryłby także ś. p. pan de Lapalisse, obradowała nad całą aferą aż Polska Akademja Literacka...

„Co dalej? — myśli sobie zwykły człowiek. — Przecież jednem z zadań Akademji — może nawet zadaniem naczelnem — jest właśnie podnoszenie powagi owego słowa pisanego. Więc?".

Normalnie, w Europie, ponieważ „orzeczenie" ogłoszono w całej prasie dnia 25 stycznia 1937 roku, — dnia następnego t. j. 26 stycznia powinna była do PAL-u wpłynąć „na piśmie" rezygnacja „akademika" Rzymowskiego z godności członka Akademji. Ponieważ jednak u nas bardzo wiele rzeczy dzieje się zupełnie anormalnie — i niezupełnie po europejsku — przeto oczekiwać wolno nawet tego, że rezygnacja taka wogóle nie wpłynie...

Poziom cywilizacji

Można niewątpliwie być szczęśliwym i na bezludnej wyspie. Myślę nawet ostatnio coraz częściej — że właśnie *tylko* na bezludnej wyspie można być naprawdę szczęśliwym. Ale jeżeli już Polska, jako Państwo, ma swe miejsce w samym środku Europy — to jednak może powinno się to jakoś przejawiać. Chociażby intensywnością korzystania z tych udogodnień, które nam cywilizacja ofiarowała.

Cóż mówią liczby? Ta niemiła, sucha a tak wymowna statystyka?

Telefony. Na stu mieszkańców posiadamy ułamek, bo 0,64 aparatu telefonicznego. Szwecja, Szwajcarja, maleńka Danja — mają telefonów procentowo piętnaście razy więcej. Pocieszmy się jednak, że Jugosławja, Sowiety, Bułgarja i Rumunja mają ich *jeszcze trochę mniej od nas.*

Telegramy. Ich liczebność jest *nieomylnym* wskaźnikiem intensywności życia gospodarczego. Bo przecież telegramów miłosnych wysyła się bardzo, ale to bardzo niewiele. Więc my — ile?

Na stu mieszkańców wysyłamy 9,9 telegramu *rocznie!* Na trzydzieści sześć państw, które obejmuje ta statystyka, zajmujemy chlubnie — drugie miejsce.

No, drugie — od ogona, naturalnie.

Za nami kroczy dumnie— Litwa...

Mądrość uśmiechu

Cudowny kraj — Francja! Kraj, w którym *„tout finit par une chanson"*.

Ta piosenka bywa często bardzo złośliwa dla najwyższych dygnitarzy państwowych — mają oni jednak dość wyrobienia politycznego, dość poczucia humoru — no i dość rozumu — aby piesence kagańca nie nakładać.

W jednym z najlepszych kabaretów literackich na świecie — w paryskim *„Théatre de dix heures"* — występuje co wieczór piosenkarz, który z uśmiechem podaje rozbawionej publiczności swe polityczne satyry, suto zaprawione witrjolejem. Ten piosenkarz nazywa się Martini. Najbardziej niezależny, najbardziej bezlitosny satyryk, jakiego sobie można wyobrazić.

Czem jest *w dzień* ów artysta, który co wieczór wydrwiwa dotkliwie nadęte wielkości urzędowe, nie oszczędzając nawet prezydenta Republiki?

Martini jest sobie w „cywilu" — urzędnikiem magistrackim miasta Paryża. Ale, jak sam twierdzi — *„urzędnik — to nie znaczy sługa"*.

Tego samego zdania są jego zwierzchnicy biurowi.

Cudowny kraj — Francja...

Koszłowny wrzód

Tylko tak nazwać można w budżecie ubogiego pańswa polskiego — przerost emerytur. Jak stwierdził w sejmie pos. Ostafin, od szeregu lat zwalniano urzędników lekkomyślnie, przedterminowo. Oto skutek: w roku 1924 na emerytury wydano 33,6 miljonów zł., zaś w 1935 — 172,5 miljonów zł. Prawie 75% emerytów ma mniej niż 55 lat!

Teraz już wiemy, dlaczego brak pieniędzy na szkoły, na etaty nauczycielskie, i na szpitale.

Z igły — widły

Poseł Mincberg ma strasznie czułe serce. Zainterpelował przeto ministra Komunikacji w sprawie istotnie okropnej: oto pewien urzędnik kolejowy, żyd, na tle szykan swego zwierzchnika, poderżnął sobie w jego gabinecie gardło brzytwą. TAK ŻE AŻ MU SIĘ GŁOWA POTOCZYŁA NA ZIEMIĘ... -

To wszystko p. poseł przytaczał jako dowód, że żydów się w Polsce gnębi.

Minister Ulrych pobiegł do telefonu. Sprawdził rzecz u źródła. I wyjaśnił krótko, że urzędnik ów za nietaktowne zachowanie został przeniesiony do innej miejscowości. Rzeczywiście poderżnął sobie gardło — ale bardzo nieszkodliwie i wkrótce będzie zdrów. A przyczyną jego zdenerwowania jest choroba córki.

To wszystko byłoby jeszcze nic. Pointa leży gdzieindziej. Mianowicie ów urzędnik, noszący niemieckie nazwisko — podobno wogóle nie jest żydem. I poco się było tak przejmować tą „toczącą się głową", panie pośle?

Tam — czytają

W ostatnim zeszycie „Prasy" znajdujemy sprawozdanie finansowe „Librairie Hachette", prowadzącej kolportaż pism w całej Francji.

Bilans roczny tej firmy wykazał *blizko 15 miljonów frankow czystego zysku.*

„Uprościli"

Redakcja „Tęczy" ogłosiła konkurs, związany z „uproszczeniami", jakie nam najmiłościwiej ofiarowała nowa reforma ortografji. Uczestnicy konkursu nie mieli łatwego zadania. Kazano im obliczyć reguły i wyjątki, zawarte w nowej ortografji, w porównaniu z poprzednią.

Okazało się, że:

Dawna ortografja zawierała 386 reguł. Nowa — 703.

Dawna ortografja zawierała 74 wyjątki. Nowa — 431.

Nie dziwcie się, drodzy czytelnicy, że piszę nadal dawną ortografią!

Mentalność biurokratów

Tygodnik „Odnowa" zamieścił charakterystyczną rozmowę jednego z adwokatów polskich z pewnym rosyjskim gubernatorem w Królestwie. Adwokat ten tak opowiada o przebiegu swej wizyty:

„Zgłosiłem się osobiście do gubernatora, ażeby wyjednać cofnięcie zarządzeń niższych władz administracyjnych, które zamknęły jakieś, nie pamiętam już jakie, przedsiębiorstwo mojego klijenta, prowadzone bez uzyskania koncesji. Opierałem się na tem, że niema ustawy, któraby nakazywała uzyskiwanie koncesji na prowadzenie tego rodzaju przedsiębiorstwa. Gubernatora nie zastałem, przyjął mnie wicegubernator, zruszczony Niemiec.

— Niech mi pan wskaże — powiedział — ustawę, która upoważnia do prowadzenia takich przedsiębiorstw bez koncesji.

— To nie jest potrzebne — odrzekłem — wystarcza, jeżeli niema ustawy, któraby nakazywała uzyskiwanie koncesji. Co nie jest wyraźnie zabronione, to już przez to samo jest dozwolone.

— Nie, panie, obywatel nie ma prawa nic robić, na co mu albo ustawa, albo władza wyraźnie nie pozwala.

— Ależ panie gubernatorze, wszak każdy z nas codzień oddycha, mówi, je, pije, śpi i spełnia cały szereg innych funkcyj, nie wyjednywując na to zezwolenia władzy.

— Dygnitarz zastanowił się chwilę.

— Zaperone, — powiedział po chwili namysłu — władza z natury rzeczy musi na to patrzeć przez palce, ale, ściśle biorąc, to jest nie w porządku".

Dyplomacja — i serce

Departament Stanu w Waszyngtonie zawiadomił wszystkie swe placówki zagraniczne, że amerykańskim urzędnikom dyplomatycznym i konsularnym nie wolno odtąd żenić się z cudzoziemkami. Kto zawiera takie małżeństwo — musi natychmiast złożyć podanie o dymisję.

Taki sam zakaz obowiązuje już od kilku lat dyplomatów włoskich i tureckich. Zupełnie słusznie.

Oczekujemy analogicznego rozporządzenia ze strony naszego M. S. Z. Istnieje wiele żon polskich dyplomatów, które nie są polkami. Więcej: które po szeregu lat figurowania w polskim korpusie dyplomatycznym, jedząc polski chleb i „reprezentując" Rzplitą — *nie nauczyły się nigdy poprawnie mówić po polsku.*

„Mamusiu, proszę o 20 groszy

Czytamy w „Kurjerze Poznańskim" słuszne uwagi na temat nieustających składek szkolnych, których koszty ponoszą oczywiście nie dzieci, ale rodzice. Dziś zwiedzanie muzeum, jutro wycieczka, pojutrze wystawa czy teatr, wszystko bardzo pożyteczne — ale czy rodzice zawsze mogą temu podołać?

Specjalnie drażliwe wydają się wymagania władz szkolnych w stosunku do mundurków uczennic. Chłopcom podobno wybacza się różne nieprawidłowości. Dziewczynkom — nigdy. Jak czytamy, jedna ze szkół żeńskich — ciekawe byłoby wiedzieć, która — na wycieczkę do Krakowa zażądała, aby sobie wszystkie dziewczynki *kupiły jednakowe brązowe półbuciki!*

W innej szkole wychowawczyni udzieliła dziewczynce surowej nagany, kiedy zjawiła się w nieprzepisowym palcie, odziedziczonem po starszej siostrze.

A „pomoce naukowe"? Cytujemy dosłownie: „Dziecko ma zadane namalować jedną lub dwie linijki na konturze np. Europy, ale do następnej lekcji, na którą znów maluje się trzy linijki, „kontur" musi być nowy".

Czy władze szkolne nie wiedzą, co znaczy określenie „ciężkie czasy?"

Uparty nurek.

Z. NORBLIN - CHRZANOWSKA

GOSĆ Z HOLANDII

Nie, wcale nie będzie mowy o hrabinie Sternberg i jej małżonku. Nie mam zamiaru powiększać zastępów natrętnych dziennikarzy, który umieli swą źle zrozumianą „ciekawość zawodową" posunąć aż do zatruwania dwojgu sympatycznym młodym ludziom najbardziej intymnej, najbardziej „prywatnej" epoki w ich życiu.

Myślę o innym gościu z Holandji. W najbliższych dniach odwiedzi Warszawę znana holenderska pisarka, Jo van Ammers-Küller, autorka słynnej powieści „Kobiety z rodu Cornveltów". Niedawno ukazała się w przekładzie polskim interesująca jej książka „Portrety kobiet wybitnych" *) Tym portretom warto poświęcić chwilę uwagi.

Autorka postanowiła dać sylwetki szeregu najsławniejszych kobiet współczesnych. Dobór portretowanych jest bardzo eklektyczny, wcale nie zacieśniony ani upodobaniami zawodowemi, ani sympatjami narodowemi autorki.

Jest tu szwedka, Elsa Brändström, siostra Czerwonego Krzyża. Jest francuska pieśniarka, Yvette Guilbert, jest holenderska działaczka społeczna Rosa Manus, jest jedyna amerykanka Elizabeth Arden, właścicielka słynnego zakładu kosmetycznego. Jest holenderska śpiewaczka, Julia Culp, i angielka, były minister pracy — Margaret Bondfield. Jest austrjaczka Charlotte Bühler, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, i francuska dyktatorka mody, Madeleine Vionnet. Dwie niemki: aktorka Käthe Dorsch i tancerka Mary Wigman. I jeszcze jedna angielka — Maud Royden. Jej zawód? — Kaznodzieja. No tak...

Bezwątpienia tych jedenaście nazwisk nie wyczerpuje listy kobiet wybitnych — wcale też nie to było zamierzeniem autorki. Wybrała ona poprostu różne indywidualności w najbardziej odrębnych dziedzinach pracy — przeprowadziła z każdą z nich długą, po kobiecemu wnikliwą rozmowę — i przy pomocy bystrej obserwacji i nieomylnej intuicji nakreśliła jedenaście nieprzeciętnych sylwetek.

Metoda Jo van Ammers - Küller jest bardzo kobieca. Dla tej obserwatorki równie ważne jest umeblowanie salonu danej kobiety, jak jej praca zawodowa, równą wymowę ma jej kapelusz, jak jej osiągnięcia na szczeblach karjery. Jo van Ammers-Küller nie chce widzieć w swych portretowanych tylko wybitnych pracownic. W każdej z nich interesuje ją przedewszystkiem — kobieta. I to, jak dana kobieta łączy swą pracę ze swą kobiecością, czy i co zmuszona jest poświęcić lub usunąć na plan drugi.

Ten system obserwacji daje w rezultacie sylwetki bardzo żywe i zupełnie niebanale. Dowiadujemy się kolejno, jaka była młodość każdej z tych kobiet wybitnych. Jedne z nich w młodości przeszły nędzę, aby dojść do szczytów powodzenia i sławy — jak Yvette Guilbert. Inne wychowywane były w zbytku bogatej mieszczańskiej rodziny, jak Rosa Manus, bojowniczka o prawa wyborcze dla kobiet, albo Maud Royden, kobieta - kaznodzieja. Wszystkie — walczyły. Żadna nie wygrała swego powodzenia na loterji, żadnej nie torował drogi „łut szczęścia". Każda zmagała się z przeciwnościami, często z szyderstwem, zawsze z niezrozumieniem. I każda z nich zwyciężyła wreszcie — siłą woli i świadomością swej drogi.

„Talent"? — powiedziała wielka artystka, Yvette Guilbert — to jeszcze nic. Zwyciężył nie mój talent. Zwyciężyła — moja inteligencja".

Takich nieoczekiwanych szczegółów mamy w tej książce sporo. Dowiadujemy się np., że dyktatorka mody, Madeleine Vionnet, jest starszą panią powyżej pięćdziesiątki, siwowłosą, brzydko ubraną w seryjny beret i bylejakie bronzowe palto, spod którego wychodzi czerwona suknia. I że ta artystka linji i barwy strojąca najpiękniejsze kobiety świata, dość ironicznie traktuje zmienność upodobań kobiecych, ich nieustającą pogoń za nowością, która zwie się modą.

A znowu przeciwnie — Charlotte Bühler, profesor uniwersytetu, wszechświatowej sławy badacz psychologji dziecka — jest damą świetnie ubraną i przepadającą za życiem towarzyskiem! Potrafi tańczyć do piątej rano, a potem przyjść do uniwersytetu na wykład, wypoczęta jak po najlepiej przespanej nocy. Ta kobieta ma czas na wszystko: jest uczoną, jest żoną, matką dwojga dzieci, panią domu, sportsmenką i elegantką. Jest przytem śliczną kobietą — i wygląda na lat 30 choć ma ich czterdzieści parę.

Jeszcze inna indywidualność: aktorka niemiecka, Käthe Dorsch. Sławna, uwielbiana, ciesząca się szalonem powodzeniem — lubi jakby naprzekór samotność, a w nieczęstych chwilach wypoczynku w swem nerwowem życiu szuka ciszy i woli towarzystwo kwiatów i psów, niż hałaśliwych i denerwujących ludzi.

Kobieta - kaznodzieja, Maud Royden, córka potentata okrętowego z Liverpoolu, oddała swój talent krasomówczy na usługi religji. Stworzyła w Londynie coś w rodzaju sekty, choć tego tak nie nazywa. Jako kobiecie — nie przyznano jej prawa do wygłaszania kazań w kościele — to też prowadzi swą pracę na terenie prywatnym, w jakiejś przygodnej sali, gdzie gromadzą się setki wiernych, aby z jej słów czerpać pociechę i naukę.

Poznajemy jeszcze pełne przeciwności dzieje Mary Wigman, jednej z najwybitniejszych artystek nowoczesnego tańca, i nieprawdopodobne poświęcenie szwedki Elsy Brandstrom w obozach dla jeńców na Syberji, podczas wielkiej wojny. I olśniewającą karjerę Elizabeth Arden, której działalność polega na upiększaniu kobiet całej kuli ziemskiej, i uparty wysiłek Margaret Bondfield, córki robotniczej, która została ministrem pracy.

Każda z tych kobiet jest napewno nieprzeciętna. Każda, mimo początkowego oporu i niechęci do wywiadu — pozwoliła się wreszcie przeniknąć inteligentnemu psychologowi, jakim jest Jo van Ammers Küller. To też książkę tę czytać będą z zainteresowaniem nietylko kobiety.

---

*) Jo van Ammers - Küller — „Portrety kobiet wybitnych" — przekł. H. Leśniewskiego. Wyd. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA.

PAŁAC Z CHIŃSKIEJ PORCELANY

Na zielonej murawie wzgórz, tam gdzie śmieją się błękitne oczy jezior, stary Czin-Song wybudował pałac z porcelany.

Ci, co pamiętają starego Czin-Songa różnie o nim mówią. Nikt jednak, nawet najstarsi starcy Rangoonu, nie pamiętają go młodym. Zawsze był stary. Jednak właśnie w tej niepamiętnej młodości przywędrował z Chin i osiedlił się w Burmie.

Był bardzo bogaty. Trudno było na palcach zliczyć miljony, które stary Czin-Song posiadał w złocie, w minach, w nafcie, w bankach, w skarbcu pałacu i na morzu.

Do wszystkich portów Indji, Burmy, Sjamu, Chin, zawijały jego ładowne okręty. Bajki opowiadano o pałacu z porcelany, o jego skarbach, kwiatach ogrodu, koniach wyścigowych.

I raptem któregoś dnia uderzyła w rynek plotek Rangoonu wieść, jak piorun z nieba. Czin-Song stracił wszystko. Jest biedny, jak tego dnia, gdy z węzełkiem na plecach wszedł do Rangoonu.

Nie skończono się dziwić, opowiadać, gdy drugi grom uderza. Czin-Song nie żyje. Otruł się opjum. — Co? Dla czego? — czyżby, aż tak źle?

Było to parę lat temu. Burma Oil Company zabiła starego chińczyka. Na nafcie stracił miljony, które wpierw na niej zarobił — i życie.

Pozostało trzech synów. Najstarszy walczył mniej, niż rok. Zwyciężony poszedł w ślady ojca. Pozostało dwóch synów. Już żaden z nich nie miał walczyć o odzyskanie fortuny ojca.

Drugi jako chłopak wyszedł z domu. Miał swoje sposoby i sposobiki, by na kredyt ojca wyciągać z ludzi pieniądze. Świetnie sobie dawał radę. Wciąż nowe zakłada sklepiki na bazarze. Raz patefony swego pomysłu, to znów inny wynalazek. Idzie nieźle. Ma teraz ojca ruinę i zobowiązania brać na swe barki? — Za nic.

Pozostał najmłodszy — Cartek. Ten jest napewno młody. Bo nawet jeszcze nie żonaty i wszyscy go pamiętają jako dziecko. Stary kapitan z okrętów Czi-Songa nosił go na ręku.

Cartek jest mały, okrągły jak kulka i ma typ wybitnie burmeński. Czem to tłomaczyć? Urodzony w Burmie jednak z ojca i matki chinki. Matka jeszcze żyje. Snuje się jak cień w czarnej, obcisłej pyjamie po olbrzymich salach pałacu.

Co robi Cartek? Jest bezustannie zajęty. W każdym razie nie pieniądze. Raczej wciąż je przerabia. W rozjazdach po drogach Burmy, bezdrożach Arakanów i Ahanów wyławia perły — konie wyścigowe i rzadkie gatunki orchidei z dżungli.

Jego dwie pasje, stajnia i szklarnia. U nas to się nazywa cieplarnia, oranżerja, ogród zimowy, jak kto woli. Tutaj trudno zastosować europejskie nazwy. Bo poza szkłem i zewnętrznym wyglądem, ta cieplarnia ma naturalne ciepło słońca, nawet chłód i cień.

Cartek, syn Czin-Songa jest bardzo dumny ze swego wysokiego rodu i starożytnego pochodzenia. Po całej Burmie i kraju Shanów ma przyjaciół nie gorzej urodzonych od niego. Królów plemion i miast, skrytych wśród gór niedostępnych.

Taki król, jak syn Czin-Songa, mieszka w pałacu. Ma swoje pasje. Najczęściej białe słonie. A podstawą jego bogactwa jest uprawa roli. Plantacje ryżu, kartofli. W naszym pojęciu jest tylko obywatelem ziemskim, obszarnikiem. Co kraj, to obyczaj. W Burmie, jak ktoś sadzi kartofle na przestrzeni dwuch tysięcy hektarów, już koronę nakłada.

Cartek ma nawet swego adwokata do ratowania spraw po ojcu i pilnowania jego osobistych. Ale nic nie pomoże. Żaden z synów nie ma genjalnej głowy ojca i żaden do poprzedniej fortuny nie powróci. Tak orzekła opinja publiczna całego Rangoonu

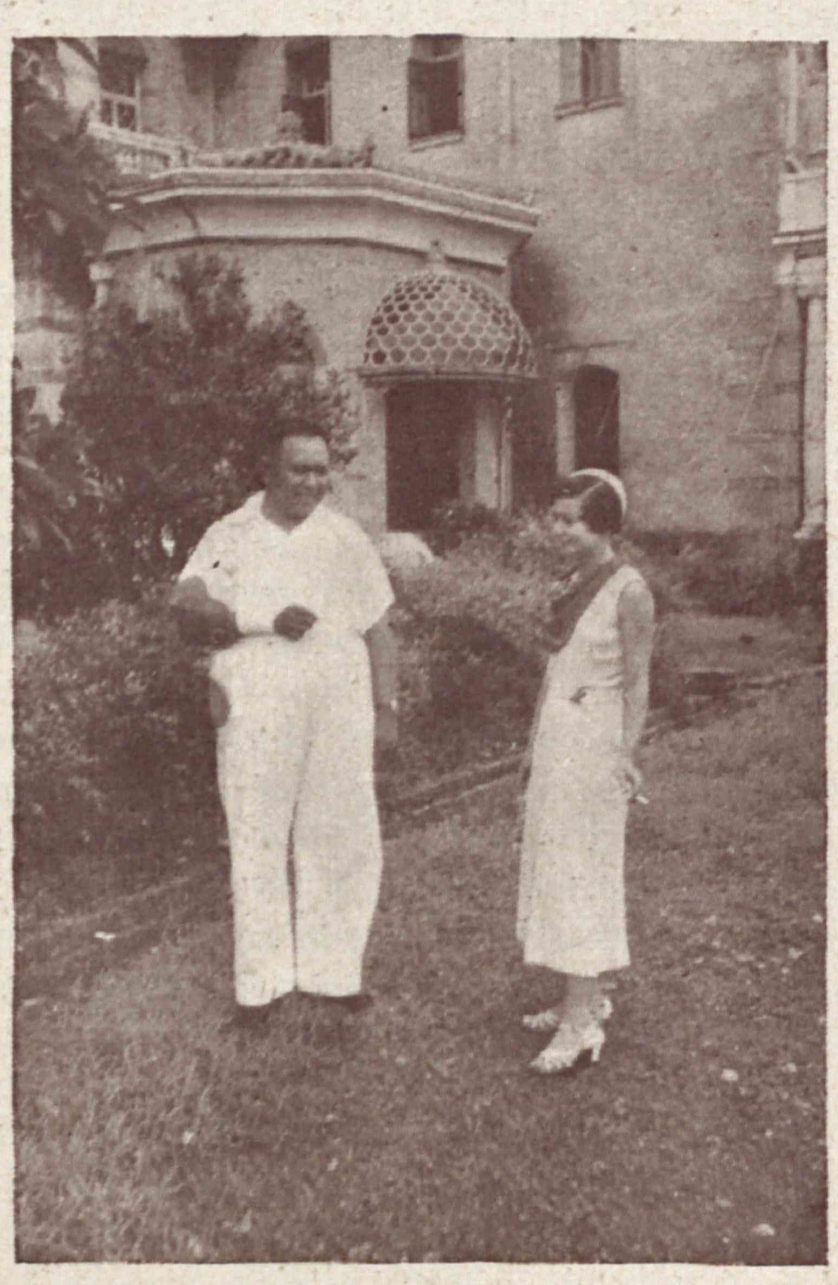

Cartek; syn Czin-Songa i autorka przed pałacem.

i przestano się interesować losem ongiś świetnego rodu Czin-Songa.

Porcelanowy pałac stoi w zapuszczonym, zdziczałym ogrodzie i płyta po płycie, kafelka po kafli rozpada się w ruinę. Na skrzywionej bramie napis oznajmia, że wstęp w te progi wszystkim surowo wzbroniony. Pędząc maszyną po szerokiej szosie ma się wrażenie, że pałac wymarły już dzisiaj jest opuszczoną ruiną. Może zabytkiem z czasów świetności królewskiego rodu z Mandalay.

Poznaliśmy Carteka u jego adwokata. Omawiał jakieś sprawy, zajęty więcej prawą ręką w łupkach. Zwichnięcie ścięgien, jak później opowiadał. Powiedziałam parę komplementów o pałacu, o jego pięknie i niedostępności dla turysty. Wyraziłam swe zainteresowanie i chęć zwiedzenia. Następnego dnia zajechał samochodem pod nasz próg, by zawieść do siebie za miasto.

Żałośnie wykrzywiona brama zaskrzypiała półotwartem skrzydłem. Żwirowany zakręt drogi, podjazd pod okap tarasu. Już stoimy w pro-

gu. Pan domu, jak wypada dobrze wychowanemu chińczykowi, wygłasza frazes — oto mój ubogi skromny domek. Drzwi się same otwierają — bez cudów. Służący z wewnątrz zrobił to bezszelestnie.

Hall a dalej okrągła nawa środkowa i boczne, dzielone kolumnadą na salony. W kopule świergocą wróble. Brudzą brzydko na niefroterowany parkiet posadzki. Wewnętrzne rozwiązanie architektoniczne w stylu Taj Mahal. W głębi mamy ołtarz rodzinny z Konfucjuszem pośrodku. Meble z ciemnego drzewa inkrustowane masą perłową, srebrem, złotem. Brokaty, jedwabie obić. Przecież to pałac porcelanowy starego Czin-Songa. Opuszczenie i zniszczenie wyziera ze wszystkich kątów pajęczyną, szarą patyną kurzu. Gospodarz wręcza mi biały kwiat z ołtarza. To ma przynosić szczęście. I proponuje zwiedzenie wszystkich pięter ze służącym, który nas oprowadzi. On przeprasza bardzo, ale musi zmienić opatrunek na ręce. Później zrozumieliśmy dla czego Cartekowi było tak pilno do opatrunku.

Drewniane schody coraz to węższą spiralą wspięły się aż na siódme piętro. Z jego tuszą przy dusznym upale południa naprawdę byłoby ciężko.

W pałacu dzisiaj mieszka się tylko na dole. Już na pierwszem piętrze jasna sala z tarasem na ogród i galerja wkrąg nawy, są czemś w rodzaju prywatnego muzeum. W gablotkach, na stołach i stolikach pysznią się figurynki, serwisy do herbaty z czerepków przezroczystej, chińskiej porcelany. Kość słoniowa rzeźbiona na sposób chiński, burmeński. Burmeńskie szkatuły ze złota i srebra nabijane klejnotami.

Galerji obrazów niema. Jedynie na ścianach pierwszego piętra al fresco angielskiego malarza, dzisiaj sławy Londynu. Podobno te mdłe freski w danej chwili przedstawiają fortunę nie do wyjęcia ze ścian. Pleśń i żółte plamy wilgoci nie oceniają wraz z nami ich wysokiej wartości artystycznej i żrą wyblakłe barwy angielskich buziaków małych chinek, mostki, chatki i inne sentymentalne pejzaże. Stary Czin-Song jakąś bajeczną sumę zapłacił za upiększenie ścian swego pałacu.

Wspinamy się na drugie piętro. Tam chińskie parawany z atłasu, haftowanego w ptaki, są zasadniczą ozdobą. Na trzeciem piętrze jest tylko garnitur mebli. Okrągły stół i wkrąg niego stołki w formie beczułek.

Ten styl powtarza się we wszystkich obrazkach z bajek chińskich, które obecnie skrzętnie kolekcjonuję, paląc chińskie papierosy „sto wróbli“ przez

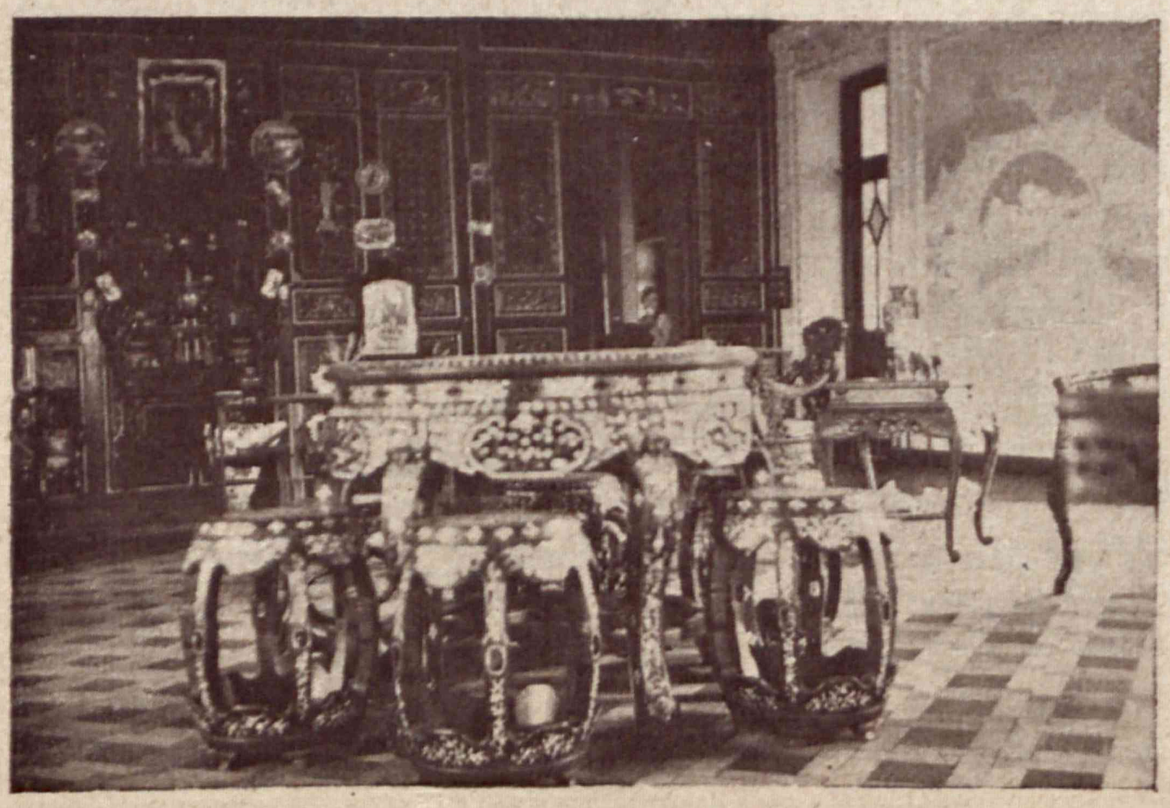

Wnętrze pałacu.

Chińskie smoki.

oszczędność. Dwadzieścia sztuk papierosów, obrazek z chińskiej bajki ze stale powtarzającą się beczką, jako zasadniczym meblem pokoju, ze smokiem, kobietą, kaczką i jakimś wielkim mandarynem o długim warkoczu. Sto sztuk wróbli za dwadzieścia groszy. W Siamie będzie za dziesięć, a w Chinach może dadzą mi premję za wierne palenie.

Na obrazkach z bajek beczka bywa z pokrywką czerwoną, lub błękitną. U Carteka w pałacu ma ładne, wycinane boki, inkrustacje z masy perłowej i tworzy zgrabny stołeczek.

Na trzeciem i czwartem piętrze już niema nic. Schody coraz węższe, izby coraz mniejsze, a widok z okien i dziwacznych tarasów i wykuszów w dachu z zielonej porcelany — coraz szerszy.

Wreszcie u samego szczytu wielokątna izba wieży. Przez okno wpadają na wytarty parkiet okruchy porcelanowej dachówki przywiezionej morzem aż z Chin. Wpadają ptaki do gniazd na suficie.

Jeziora królewskie, łąki, ogrody i pola ryżowe są u stóp. Migocze w słońcu złota strzała wysmukłej Swe-Dagon Pagody. Cały Rangoon z lotu ptaka.

Mieszkać tylko w tej izbie. A tu nawet nikt nie zachodzi. Prócz słońca i księżyca, deszczu i wiatru, ptaków i jaszczurek.

Zbiegliśmy w dół. Cartek już czekał w hallu z przewiniętą ręką. Jak zwykle w takich wypadkach, parę zachwytów wyrażonych okolicznościowo. Idziemy do kuchni. Jest wspaniała. Na dwieście osób można gotować w tym salonie. Widać, że dzisiaj jeszcze się używa.

Cieniste zacisze ogrodu orchidei i stajnia wyścigowa. Konie wyszły na spacer. Po ścieżkach zapuszczonego parku służba stajenna oprowadza smukło-nogie cuda pod ciężkiemi czaprakami.

Orchideje i konie — dwie luksusowe pasje. A dom z chińskiej porcelany i dziki park dzień po dniu rozpadają się w ruinę dżungli. Bo dla utrzymania porcelanowego pałacu potrzebne są miljony, których niema.

Piliśmy kawę z mlekiem i jedliśmy mango na tarasie. Przyjęcie nie chińskie zaiste. Przyszedł stary burmeńczyk, usiadł i patrzył na nas. Przyszedł kilkunastoletni chłopiec o skośnych oczach, syn króla Cheng-Tungu. Przyszła niania chinka z synkiem drugiego syna starego Czin-Songa. I przyszedł czas odjazdu.

GUSTAW OLECHOWSKI

19)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Kazimierz miał teraz bardzo trudny węzeł do rozwiązania: co będzi z odczytem? Na nowem stanowisku odczyt nabierze charakteru oficjalnego, już nie naukowego, ale politycznego.

Musi więc szczerze i lojalnie uprzedzić o treści odczytu Ministra Spraw Zagranicznych, skoro tylko przyjedzie.

Za dziesięć dni bowiem — już otwarcie kongresu.

* * *

Gdy się limuzyna raptem popsuła, niewiadomo dlaczego, a w warsztatach powiedziano, że naprawa będzie wymagała najmniej dwóch tygodni, bo jakiejś tam części nie można było dostać w mieście i trzeba ją było sprowadzić z fabryki, Nina namawiała Willy'ego, by tymczasem najął otwarty samochód.

Podsunął jej tę myśl szofer. Tak jej ten projekt dogadzał... Lubiła błyszczeć, lubiła by ją widziano, lubiła oddać twarz, głowę, włosy na pastwę wichru, lubiła czuć ciałem pęd maszyny, lubiła łykać powietrze, gdy jechali wzdłuż brzegów morskich, lubiła — — —

Willy łumaczył jej, że limuzyna, jako pudło zamknięte, chroni od deszczu, kurzu, wiatru, słońca, chroni oczy od zbyt silnego parcia pawietrza. że nie jest duszno w karecie, gdy okna otwarte, że wreszcie — w razie wypadku — w pudle nie grozi śmierć, najwyżej potłuczenie, gdy otwarty samochód przy zderzeniu wyrzuca jadących o kilkanaście nieraz metrów i tłucze nimi na śmierć.

Nina nie umiała jeszcze rozumować w doskonałej równowadze, była jeszcze całkowicie prawie w posiadaniu zmysłów, wrażeń, uczuciowości lub przerzucała się raptownie w stronę bezdusznej spekulacji mózgowej, jak ją uczył Lenin. Upierała się.

Willy niechętnie się godził, ale w pierwszych chwilach nowego jej życia, zanim przerobi jej duszę, chciał jej dać wiele przyjemnych chwil, rewanż za to, co było.

Week-end spędzali zawsze na wycieczce. Zima uderzył dziwny wyraz twarzy szofera, którego tak dobrze znał z usposobienia wesołego.

Przypisał to zrozumiałemu wzruszeniu sportowca. mającego nową maszynę.

Nina naprzód chciała siadać koło szofera. Zim zaprotestował:

— Pozbawiasz nas swego towarzystwa — to niełądnie...

Byli od paru dni na — ty.

Nina przesiadła się wgłąb.

Ruszyli.

Willy i Zim, jak na komendę, zdjęli kapelusze i przeżegnali się.

Nina miała już na ustach uśmiech i uwagę, jak je miewała dawniej, gdy widziała któregoś z nich zdejmującego nakrycie głowy przed katolickim kościołem. Ale w tej chwili już nie zdobyła się na żart, a uśmiech ironji zmienił się — w chwili gdy się narodził — na słodki uśmiech, jaki miewają matki, gdy podchwycą ładny gest dziecka, nie widzącego, że jest obserwowane.

Zim i Willy spojrzeli na siebie poza jej plecami i uśmiechnęli się.

Radośnie mknęli, by odetchnąć po całotygodniowej, ciężkiej teraz w kancelarjach dyplomatycznych, pracy. Nina śpiewała, szczęśliwa. Była teraz wynudzona, bo siedziała przeważnie w domu. Willy nie pozwalał jej wychodzić samej. Ojciec nie mógł jeszcze przyjechać: interesy nie puszczały.

Szofer prowadził świetnie samochód z natężeniem nienawiści do wszystkiego, coby mu przeszkadzało do bestjalskich rozkoszy życia. Był synem greka i gruzinki. Ojciec jego był bankierem w jednym z miast Lewantu. Wychowany był w zbytkach. Matka jego była rozwiedzioną żoną innego bankiera, stokroć bogatszego, niż jego ojciec. Przez zemstę nad rywalem, który mu odebrał żonę, bo był tyleż piękny, co tamten brzydki, bogacz stracił cały majątek, by rywala puścić z torbami. Tę grę złota młody chłopak, pozbawiony nadziei na dziedzictwo, wessał w siebie i postawił sobie za cel życia panowanie nad niem przez złoto.

Wychowany był w Bawarji, świetnie władał językiem niemieckim i wysługiwał się potem różnym państwom w akcji wywiadowczej. Grał na giełdzie, był piękny jak Ganimed, uwodził co najbogatsze warjatki i szantażował je na grube pieniądze. Przed miesiącem dano mu „misję", dla której został szoferem u Corneliusa. Zarabiał tu trzysta koron, a otrzymywał z kasy niewiadomej trzy tysiące miesięcznie z perspektywą jednorazowego wynagrodzenia „w najszczęśliwszym wypadku" w sumie pół miljona koron. Dano mu starego Forda, by się ćwiczył na odludnych drogach w „wypadkach". Doszedł do wielkiej sprawności w wyrzucaniu manekinów i w zabezpieczeniu siebie. Brawurował, może dlatego, że nie miał dość silnej imaginacji, by sobie wyobrazić, jak będzie leżał na marach.

To już przysłowie: MODNE TKANINY CWEJKO TANIO SPRZEDAJE

Ani Zim, który posiadał nieraz zdolność widzenia idących zdarzeń, ani Willy, który wierzył, że się Opatrzność nim opiekuje dla celów dalekich jeszcze, ani Nina, obdarzona silną intuicją — nie przeczuwali, że śmierć jest niedaleko.

Zbliżali się do *Marienlystu,* jadąc nad uroczym kanałem cienistą aleją klonów i buków, starych jak świat...

Gdyby kto był zajrzał wówczas w przekrwione oczy szofera, w zaciśnięte jego wargi, gdyby był dotknął jego muskułów naprężonych do nadludzkiego wysiłku w celu zneutralizowania strasznego uderzenia, jakie miało przyjść, byłby chyba zemdlał z przerażenia.

Kilka milimetrów skrętu kierownicą..

Trzask stali i szkła...

Łuk trzech pocisków z ciał...

Chlust wody chłonącej...

I cisza.

Cisza. Ani śladu żadnego życia, ani na lądzie ani na kanale.

Wtem zatargało coś wodą. Kanał był płytki. Ukazała się głowa Niny. Twarz — maska tragedji, ale postać ociekająca wodą — śmieszna. Stała, wysoka, z rękami wzniesionemi. Za chwilę wynurzyli się — Zim i Willy. Widzą ją, orjentują się, z trudem posuwają się w wodzie, czując dno, obciążeni płaszczami. Nina krzyczy, łka, wyciąga ku nim ręce, wydaje jakieś nieskoordynowane dźwięki, wyrzuca słowa rosyjskie, francuskie, bez związku. Zim już opanował sytuację:

— Nina, Nina, uspokój się, żywi, uratowani, to nic, patrzaj, stoisz na dnie, tu jest płytko, chodź, daj rękę...

Idą do brzegu wolno, ciężko, zamieniając dziwaczne słowa, Nina wzywa Boga, Zim się na to uśmiecha, Willy patrzy w nią z bezbrzeżną radością. Ale raptem krzyczy:

— Hans gdzie? Gdzie Hans? Utonął!...

Samochód, potężna, ciężka maszyna stoi, ale pali się. Przy kierownicy — nachylony trup Hansa. Z gardła przeciętego pękniętą grubą szybą, jak brzytwą, bluzga krew.

Nina omdlała. Willy opadł na ziemię. Wstrząs szalonego rzutu ciałem na kilka metrów, wywołał wymioty. Zim czuje się fatalnie, ale ostatkiem sił staje na środku asfaltowanej drogi i szuka wzrokiem osiedla ludzkiego, dziękując Bogu za życie.

Ogień pożera ciało Hansa, które skwierczy, płomyki liżą drzewo, wiekowy buk, opasany czule zgiętym w podkowę ochraniaczem...

I nikt nie czuł, że szła śmierć...

Nazajutrz popołudniu Nina leżała w łóżku silnie jeszcze odczuwając wstrząs i opad nerwowy, gdy służąca podała jej bilet wizytowy Jana barona Van Corneliusa.

Miała już w południe telefon od Willy'ego, że na skutek wczorajszego telegramu od syna o wypadku, ojciec przyleciał rano samolotem, ale nie spodziewała się zaraz jego wizyty. Była pewna, że przyjdzie do niej, gdy Willy wstanie, to znaczy jutro, lub pojutrze, bo lekarz kazał wszystkim trojgu poleżeć parę dni i stosować masaż oraz zastrzyki, zapobiegające konsekwencjom wstrząsu. Żadne z nich nie poniosło zresztą poważniejszego uszkodzenia ciała.

Nina powiedziała służącej, by zatrzymała gościa w gabinecie, pragnąc mieć chwilkę na przejrzenie się w lusterku i na uporządkowanie szczegółów koło siebie.

Czuła wielkie zaniepokojenie. Jak go powita? Nie może mu przecież powiedzieć — „bonjour, papa". Nie wypada też powiedzieć — „bonjour, monsieur"...

Okropna sytuacja!...

A może stereotypowe — „charmée de vous voir"... Oj, to jeszcze gorzej!...

Znała go tylko z fotogramu. Stary pan, sympatyczny, elegancki... Ale jak wyjść z sytuacji bardzo jednak dziwnej.

Tytułować go „papa" — to tak, jakby mu się narzucała. A może się rozmyślił... Monsieur — urazi go sztywnością.

Wtem lekkie pukanie do drzwi.

— Entrez...

Niech się dzieje co chce...

Wszedł Van Cornelius, bez słowa zbliżył się do łóżka, olbrzymi snop czerwonych róż położył na kołdrze, usiadł na nizkim taburecie tuż, przy łóżku, ujął rękę Niny, przycisnął do ust i gorąco całował, długo... Wpatrzył się potem w nią, jak w najdroższe wspomnienie i nie ukrył łez, które mu zasłoniły źrenice i wolniutko spłynęły na wąsy.

— Jak się czujesz, Ninette?

Nina była wzruszona do głębi i uczuła — po raz pierwszy w życiu — niezmierną wdzięczność za ciepło ludzkiego serca.

D. c. n.

ŚWIAT TEATRU

TEATR ATENEUM: „Woźny i minister". Komedia w czterech aktach André Birabeau, przekład Stanisława Ostoji, reżyseria Stanisławy Perzanowskiej, dekoracje Władysława Daszewskiego.

Nieskrępowany w wyborze repertuaru niezależny teatr prywatny, wystawia na swej scenie komedię polityczno - obyczajową która mimo dość błahej treści pozwala autorowi na poczynienie szeregu aluzyj politycznych, które umiejętnie przetransponowane na nasz grunt stanowią śmiałą i dowcipną satyrę nietylko na francuskie stosunki.

Te właśnie powiedzonka, trafne podpatrzenia, bystre uwagi nadają sztuce finezję i lekkość, ożywiają ciekawą, lecz niekoniecznie interesująco przeprowadzoną intrygę, stanowią pikantną przyprawę dość pospolitej potrawy.

Mistrzowska gra Jaracza na czele doborowego zespołu, świetnie uwydatnione momenty komiczne przy dyskretnym stonowaniu i zatuszowaniu słabizn przez wnikliwą reżyserię, zgarniają zasłużone oklaski rozbawionej widowni.

W ciekawą i barwną rolę starszego woźnego wcielił Jaracz całą szeroką skalę swego rozległego tatentu. Jego trafne obserwacje wypowiadane prosto i naturalnie, rewelacyjnie bezpośrednie uwagi na temat polityki i życia, trzeźwe spostrzeżenia i należyta ocena wydarzeń politycznych miały ów prosty, przekonywujący styl, który cechuje aktorów wielkiej miary. Wydobycie z pospolitej sztuki tyle dowcipnej prawdy i prawdziwego dowcipu stanowi niemały sukces aktorski i reżyserski.

Bonacka i Jaracz.

Pośpiełowski jako dystyngowany młody minister brylował wytwornością made in England, miał sztywno eleganckie maniery znakomitego urzędnika, stylizowanego na służbę dyplomatyczną. Broniszówna włożyła w rolę wiele staranności i prawdziwości, była przewidującym politykiem narzucającym swą rolę synowi - ministrowi, mężowi — przemysłowcowi i ex-mężowi — woźnemu. Ewa Bonacka miała dużo wdzięku i miłej bezpretensjonalności, Maniecki niósł wysoko sztandar godności zasłużonego woźnego.

Cyrulik Warszawski: „Cabaretissimo" — karnawał literacki Hemara i Tuwima.

„Cyrulik Warszawski" ma swój odrębny styl, wyróżniający go z grona teatrzyków rewiowych stolicy, ma swoją tradycję odważnej satyry politycznej, ma u publiczności warszawskiej zaufanie, wyrobione konsekwentną pracą, dbałością o dowcip jędrny i trafny i o poziom artystyczny dostosowany do dobrego smaku.

Te nabyte cenne atuty dają programom „Cyrulika" pewną rękojmię powodzenia i życzliwego przyjęcia przez stałą, z trudem zdobytą, rzeszę zwolenników. Ale jest i odwrotna strona medalu. Wysoki poziom artystyczny, wykazany od początku istnienia sympatycznego przybytku lekkiej muzy, obowiązuje, zmusza do stałej pracy już nie tylko nad utrzymaniem obranego stylu, ale nad konsekwentnym rozwojem, nad „równaniem w górę".

Tymczasem ostatnie programy teatrzyku wykazują stałe obniżanie poziomu, które w „Cabaretissimo" przedstawia się rozpaczliwie. Z bogatego liczebnie piętnastoobrazowego programu zaledwie parę scen uprzytamnia nam, że znajdujemy się nie w jakimś zapadłym „Grajdołku", ale na widowni przodującego teatrzyku satyrycznego stolicy.

Najlepszym bezwątpienia punktem programu jest świetny wiersz Hemara: „Corrida", znakomicie deklamowany przez Dorę Kalinównę. Dwufortepianowy podkład muzyczny („Bolero" Ravela), ciekawa dekoracja Daszewskiego przy nawskroś inteligentnej i suggestywnej interpretacji Kalinówny stwarzają obraz poetycki wysokiej klasy, przykuwają widownię tragiczną wizją hiszpańskiej rzeczywistości.

Jaracz.

Broniszówna.

Sympatyczna Zosia Terne odśpiewała z wdziękiem miłą piosenkę (tekst Hemara) o płycie z zadrą i dużo słabszy muzycznie i tekstowo płód Horowiczów „O zakochanych".

Niezawodny Rentgen opowiedział przy nieodstępnej gitarze o tragedji biednej babuleńki, słuchającej z zapałem radia, Kondrat i Olsza w obrazie „On i pomnik" sprecyzowali zastarzałe antagonizmy zespołu „Cyrulika" do teatrów T. K. K. T. i właściwy program się skończył.

To, co było przedtem, potem i w międzyczasie, mimo bohaterskich nieraz wysiłków niestrudzonego Jarosy'ego i całego zespołu, nadawało się na reprezentacyjną estradę zapadłego Pipidówka. Świetnie rozpoczęty finał o polskim filmie, dowcipnie ujmujący jego wady organiczne. rozpłynął się i zatracił w nieprzyjemnej parodji.

Z dwóch monologów Kalinówny pierwszy „brylował" szmoncesami, drugi mimo najlepszych chęci interpretatorki nie był ani dowcipny ani ciekawy.

Podejrzana „tranzakcja" rodzimych apaszów, pióra Tuwima, raziła trywialnością pseudo-dowcipu. Nieinteresujący „światopogląd spuchniętej idjotki" usiłowała przedstawić Stefcia Górska, co, mimo błskotliwego igrania słowem (Hemara), wypadło nieprzekonywująco. Banalna piosenka Olszy (tekst i muzyka Horowiczów) przeszła bez echa.

Drugi finał: „Visitez la Pologne" stanowiłby niewątpliwie efektowne zakończenie „występów" w Kaczym Dole, ale nie posiada żadnego usprawiedliwienia na scenie stołecznej.

Zastępca.

PIĘKNA TUALETA

tak samo ważna jak wybór pudru tylko

PUDER HIGIENICZNY
M. MALINOWSKIEGO

da piękną karnację, a nie niszczy cery!

Lab. Cham. Farm. ul. Chmielna 4

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych firmach.

A JA SOBIE STOJĘ W KOLE..

Gorące serca...

Do liczb wymienianych z zażenowaniem jak 601, 606 przybyła nowa — 116.

Ongiś serce przebite strzałą było synonimem pożaru uczuciowego — dziś wystarczy narysować na murze... 116!

Bo 116, to jedno z najgorętszych serc w Polsce. Należy ono do legitymacji poselskiej. Niedoceniła tego waloru tajemnicza szwedka. Ale to już polski pech, z takim płonącym, neapolitańskim sercem, z sercem na dłoni, żeby trafić na obywatelkę tak mroźnego, podbiegunowego kraju!

W tym wypadku mróz okazał się silniejszy. Gorące serce nietylko skapitulowało, ale poprostu stajało. Tysiąc złotych szlachetnej pokuty — przeznaczono na pomoc zimową. Słusznie. Mroźna szwedka okazała wyrozumiałość — pomoc zimowa zyskała 1000 złotych — serce Nr. 116 przestało się mienić i dygotać... nie z gorąca.

* * *

Aby wręczyć młodej uczenicy „szesnastolatce" książki.. klasyków polskich, inne gorące serce, bijące w ciele nauczycielskim p. Frysza wynajęło pokoik w hotelu. O ten... neoklasycyzm oskarżył gorące serce inny nauczyciel, noszący groźne imię Madeja.

Wzięty na to madejowe łoże p. Frysz w sądzie przegrał.

Ale poco tam chodził? Szesnastolatka... klasyków nie chciała. Posady nie wyrobił. Madej o nim ostro napisał. Sąd Madejowi rację przyznał — o Fryszu brzydko zawyrokował.

I miej tu gorące serce w Polce!

Gaduła w skrzyni

Wiele mieliśmy wytrwałych, dzielnych i bohaterskich polek w historji! Walczyły z pohańcami, najazdem, smokami, niemców nie chciały. teraz przybyła nam jeszcze jedna. Pani Marja Zaczek ze Lwowa. Musiała być ona wielką zwolenniczką Czarnieckiego. Sama jedna dokazała tego, czego nie dokonał żaden inny... mąż w Polsce. Zwyciężyła szwedów w 1937 roku! Zwyciężyła Pastę!

Pani Zaczek sprawiła sobie telefon. Telefon — za gadatliwość skazała na pakę. Zamknięto go tam. Zapieczętowano. Notariusza wzięto na świadka. Siedział biedny telefon w pace! Ale wielka jest gadatliwość polska. Nawet szwedzi, nawet wzorowy, nawet w pace — telefon zaraził się. Porozumiał się tajemniczo z licznikiem i gadał!

Siedział w pace i gadał! Sto dziesięć rozmówek w miesiącu grudniu roztrwonił gaduła. Mało gaduła, kosztowny gaduła, bo za to P. A. S. T-a abonentowi każe zapłacić.

Zapieczętowany. Nietykalny. W skrzyni. Zainstalowany z pompą. Odpieczętowany rejentalnie — a jednak gadał.

Podobno nawet dostał chrypki.

I dziwić się, że weseli lwowianie ukuli już nowe przysłowie: gada jak licznik.

Obywatel Zero.

TYLKO
PIECYK
GAZOWY
szybko ogrzeje
zimny sklep, biuro
lub mieszkanie
Piece w dużym wyborze
do nabycia
w
SKLEPIE GAZOWNI
KREDYTOWA 3

FUTRA
najnowsze kreacje 1937 r.
poleca
„PETITGRIS", tel. 7-19-82
Najdogodniejsze warunki, wszelkie obstalunki, przeróbki, szybko, tanio. Aleje Jerozolimskie 35—9, wprost zegara dworcowego

CI, CO WYGRALI MILION

Zakopane ma w tym roku szczęście. Pogoda jakby stworzona dla narciarzy, którzy zjeżdżają tysiącami ze wszystkich krańców Rzeczypospolitej. --

A teraz w dodatku fortuna obdarzyła mieszkańców perły uzdrowisk polskich główną wygraną czwartej klasy trzydziestej siódmej Loterii Państwowej — milionem złotych.

Panowie *Otto Federowicz* i *Roman Ignaczak* reprezentują, prócz siebie, jeszcze grono dziesięciu innych współpracowników Sanatorium Czerwonego Krzyża.

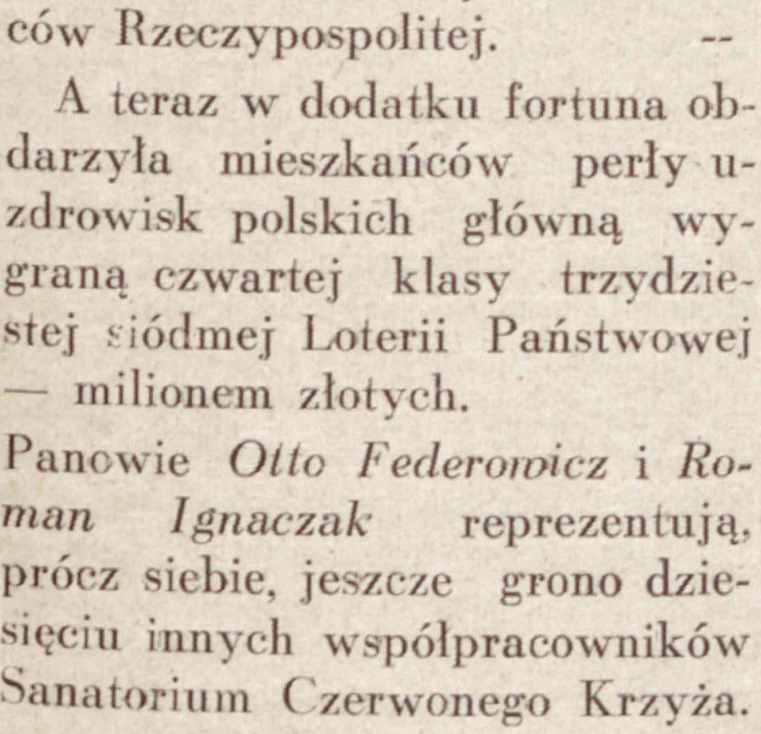

Grono to zakupiło wspólnie sześć ćwiartek różnych losów i właśnie na jedną z nich, oznaczoną numerem 57.592, a wybraną przez p. Federowicza, padła główna wygrana.

O tym szczęśliwym fakcie dowiedział się pierwszy również p. Federowicz, dzięki transmisji radiowej. Gdy zawiadomił o tym kolegów, ci byli przekonani, że chodzi tu o żart, dopiero, gdy wiadomość potwierdził poinformowany bezpośrednio u źródła kolektor — zapanowała powszechna radość.

Na dwunastu uczestników przypadnie przeszło 16.600 złotych, jest to suma, z która już można coś rozpocząć

P. *Wojciech Stopka Borowy*, gazda z Kościeliska. Jako mistrz ciesielski i specjalista w swoim zawodzie jest instruktorem szkoły przemysłowej, gdzie też zastała go wiadomość o wygranej.

Pan Stopka Borowy jest człowiekiem zrównoważonym i dlatego, choć przyjął miłą wieść ze zrozumiałą radością, to jednak nie jest nią oszołomiony.

Natomiast wielkie wrażenie było udziałem małżonki p. Stopki Borowego, która nawet nie wiedziała, że mąż jej gra na Loterii Państwowej.

Pani *Emilia Pulnerowa* i mąż jej *Wawrzyniec*, mularz z zawodu, są właścicielami trzeciej ćwiartki „milionowego“ numeru. Przypadek zrządził że numer ten dostał się do ich rąk, a dzięki jeszcze szczęśliwszemu przypadkowi, przysporzył on swym właścicielom 200.000 złotych.

Państwo Pulnerowie zamierzają zużyć wygrane pieniądze na budowę domu.

Właścicielką ostatniej ćwiartki jest
Pani *Maria Niderowa*, jej siostra oraz dwoje jeszcze członków rodziny. Pani Niderowa jest wdową i dotychczas nie posiadała środków utrzymania. Z wygranej przypada na jej część 50.000 zł., dzięki którym uzyska całkowitą niezależność.

Oczywiście wszyscy nowokreowani ćwierćmilionerzy zaopatrzyli się już w losy do pierwszej klasy trzydziestej ósmej Loterii Państwowej. Ale przede wszystkim zrobić to powinni ci, którym się jeszcze nie poszczęściło, bo przecież i oni mają szanse wygrania w ciągnieniu, które rozpocznie się 18 lutego.

BLANKA KUTNEROWNA.

PRZYDROŻNY KWIAT

Pierwszy okres „po wszystkiem" tak był wypełniony po brzegi wściekłością i oburzeniem, że nie starczyło czasu na nic innego. Pozatem trzeba także — nagwałt i na złość — urządzać się na nowem mieszkaniu, to również przynosiło ulgę.

Pani Helena prowadziła więc długie konferencje z tapicerem, z meblarzami, z podręczną Julką, która znała się na wszystkiem, z bratową. — Słowo daję, a cóż to za silna kobieta! — szeptała potem na przyjęciu u doktorostwa Z. pulchna i różowo-blond pani sędzina.— Mąż ją rzucił, a ona jakby nigdy nic.

— Obstalowała sobie u Strzepkowskiej wiosenny kostjum angielski — uzupełniła minorowo doktorowa Z.

Gdyż to było, rzeczywiście, trochę już za-za...

Małżeństwo żyje ze sobą okrągłych lat siedemnaście, wychowuje dwoje podrastających dzieci, nazywa się, że stadło jest dobrane, potem pan małżonek zakochuje się w jakiejś tam młodziutkiej dziewczyneczce — mogłaby być jego córką, nieprawdaż? — i poprostu wyprowadza się z domu, jakby ten dom przez siedemnaście lat był mu tylko hotelem, niczem więcej.

Różowo-blond pulchna pani sędzina nie posiada się z oburzenia.

— Ależ, w takim razie... — szuka gwałtownie konkluzji w swojej zaondulowanej główce, przygryzając ostrym ząbkiem dolną wargę — w takim razie małżeństwo nie daje kobiecie żadnej rękojmi spokojnej starości, bo jeśli taki gagatek nie poczuwa się potem do żadnego obowiązku moralnego wobec starzejącej się kobiety, której wypił całą młodość...

Różowo-blond sędzina powiedziała obrazowo „wypił" — znak niechybny szczerego oburzenia, jako też wzgardy, podniesionej na wyżyny literackiego patosu.

Dystyngowana, szczupła i zawsze ciemno ubrana doktorowa Z. uzupełnia: — Trafiła pani w sedno rzeczy, kochana. To już stara kobieta.

Pani doktorowa przedłużyła te słowa ponuro i na znak całkowitej determinacji machnęła wąską dłonią.

— Nic tu się już nie da zrobić — przytaknęła milczącym ruchem głowy wdowa po dziekanie uniwersytetu. Była to osoba korpulentna i obfita, jednakże duchowy odpowiednik jej fizys przejawiał się skąpem słowem, nader rzadką inwencją, co w oczach pań dawało jej szczególnie sympatyczną opinję osoby milcząco-mądrej i mądrze-skrytej. Rzekła jeszcze tylko, ulokowawszy wygodniej podbródek na dwóch podściółkach tłuszczu:

— A jaka u nich była kuchnia!...

— O, nie wątpię — zaszczebiotała złośliwie sędzina — że przyjęcia w nowym domu pani Heleny będą nadal równie miłem évènement...

Ba... panie zasępiły się, przycichły, przywarowały. Rzecz w tem, że ten gagatek mógł stać się fatalnym przykładem dla ich własnych mężów. Szczęście domowe pani doktorowej Z. naprzykład, trwa na bardzo, ale to bardzo kruchych nóżkach... Jest tam w klinice pewna młodziutka asystenka, powiedzmy odrazu szczerze — fatalnej konduity niewiasta, która...

Pani doktorowa Z. porusza się nerwowo na krześle.

— Fatalne czasy — powiada na to wdowa po dziekanie, chlubiąca się mistyczną zdolnością odcyfrowywania myśli przeznaczonych do głośnego wypowiedzenia.

Co innego sędzina. Ta nie boi się o swego męża... Siedzi on mocno pod maleńkim pantofelkiem swej różowo-blond połowicy, która coprawda ze swej znowuż strony...

Nie, stanowczo nie jest tutaj dla nikogo niespodzianką, że to właśnie ona, sędzina, poczuła się najsilniej dotknięta wybrykiem tego gagatka. Nie mogła poprostu, w czystości wielkiej swego kobiecego serca, znieść tej historji.

Tedy dziekanowa, postanowiwszy nieco ukrócić zbyt już aktorskie lamenty, rzecze, celując w nią błyskiem wypukłego oka: — A jaka ta Helenka była elegancka...

— Hm... — pani sędzina, rzeczywiście, obrusza się lekko — czy to tak trudno kobiecie, której mąż zarabia tysiące, ubierać się elegancko? Nie rozumiem, doprawdy.

Ale chuda doktorowa rozumie. — Elegancja, to jednakże nie tylko kwestja pieniądza — mówi, lornetując przez pince-nez sędzinę z powściągliwą satysfakcją. Było przecież tajemnicą poliszynela, że pulchna sędzina zazdrościła pani Helenie jej toalet i wogóle sposobu życia.

— A zresztą, czy rzeczywiście te tysiące dostawały się do rąk żony, jeśli nawet ten gagatek, powiedzmy, naprawdę je zarabiał?

Różowo-blond pani sędzina wstała nerwowo, zabierając się do odejścia: — Och, no jeśli się ma w głowie tylko kwestje strojów i kryształów do jadalni... — bo co do niej, sędziny, to kochane panie wiedzą przecież, jak dalece zaprząta ją praca społeczna i filantropijna...

Owszem, z tem do pewnego stopnia zgadza się wdowa po dziekanie, która jednak mogłaby skolei zarzucić pani sędzinie — właśnie wyszła do przedpokoju — jej wyłącznie ziemskie, takie trzeźwe i realne zainteresowania. Nie pozwala namówić się na żaden odczyt teozoficzny, a przecież są to sprawy wielkiej głębi. Kontakt dusz...

Pani doktorowa Z., przejęta naukowym światopoglądem swego męża, pokrywa mistyczne wynurzenia wdowy uprzejmem milczeniem. Biedaczka, tak wcześnie straciła męża... Co innego kościół, religja. Ten daje siłę przetrwania najcięższych chwil i gdy Lucio wychodzi do kliniki (...co za czasy, teraz byle kokietka ima się pracy naukowej. Że też nikt nie wymyśli na to godziwego paragrafu!), wtedy pani Lucjanowa klęka pośpiesznie chudemi kolanami na twardych posadzkach kościołów, pod miłosiernemi obliczami świętych. Tak łatwiej przeczekać ranny niepokój...

Ale niepomiernie tłusta wdowa po dziekanie lubi we wszystkiem — o dziwo! — właśnie umiar, nadewszystko umiar. Szepcze tedy znajomym, o doktorowej mówiąc: dewotka... A panie, ulegając pasji psychologizowania, prześcigają się w wynajdywaniu okoliczności łagodzących.

Co do umiaru: czyż nie brakło go przedewszystkiem pani Helenie, mecenasowej, żonie tego gagatka?... Czegóż bowiem nie wyprawiała! W dzisiejszych czasach—takie przyjęcia! taka gala! takie — na złość chyba — wyjazdy zagranicę!! — ...z tem się chyba zgodzicie, moje panie — kończy wreszcie sędzina.

Jest dziś powójnie wściekła. Po pierwsze, mężuś znów okroił pensję domową, a po drugie, ta „biedna Helenka" urządziła się na nowem mieszkaniu już naprawdę przesadnie, zważywszy obecną sytuację.

— Ach, — panie wydobywają ze współczujących piersi przydługie westchnienia i postanawiają zająć się gorliwie opuszczoną kobietą. Jeszcze on pożałuje, ten gagatek, który — to święte — odtąd jest dla nich wyklęty, nieistniejący!

Tak zblokowane radzą, jakby tu przyjść z pomocą przyjaciółce. W wypiekach na przypudrowanych twarzach z układnym współbólem na ustach, a z niepojętą radością i dumą w piersiach, że jednak... że przecież nie mój, nie mój!! — snują plany zemsty precyzyjne i długodystansowe. — Bo proszę was, człowiek w tym wieku! co innego dom, a co innego kawalerskie życie! I czy on wytrzyma? Przejdzie pierwszy szał, a potem będzie miał dość tej dziewki, tej złodziejki serc, tej ladacznicy! Wróci, zobaczycie...

— Jabym wtedy nie przebaczyła za nic! — unosi się dziko milutka pani sędzina.

Pani doktorowa ze ściśniętem od niepokoju sercem jest nieco łagodniejszego mniemania.

— Tyle lat razem przeżyli, mężczyzna błądzi i jest jak dziecko...

— A jeśli nie wróci, nie okaże skruchy? — rzecze spomiędzy otłuszczonych policzków dwowa po dziekanie.

— Wykluczone! — decyduje pośpiesznie blada doktorowa Z.

— Chociaż... kto wie, kto wie? — pani sędzina przechyla główkę blond, jedną maciupką rączką gładzi drugą, równie wypielęgnowaną, a głos, miękko rozprowadzony przyśpiewem zwątpienia, grucha w jej gardle, jak u gołębicy.

Pozostałe panie patrzą teraz na nią z ledwo maskowaną niechęcią. Tej dobrze, jest pewna swego. No, jeśli się jest taką kobietką... a powtóre, niema czego się puszyć. Nie ona jedna może poszczycić się kochającym mężem. Taka naprzykład dyrektorowa K. Przecież ten człowiek poprostu szaleje za swoją żoną!

Panie ścieśniają koło głów nad stolikiem: — szaleje?... rzeczywiście... Mówiono wczoraj na przyjęciu u Fr., że ona... a on....

Wejście pani Heleny rozcina pikantną poufność kółka na dwoje smugą zimna, normalności, opanowania. — Dzieńdobry, dzieńdobry. Panie już wszystkie?

Nie! Jak ta kobieta się trzyma... Kostjum rzeczywiście nowy, angielski, zrobiony kapitalnie. Bluzka... ach! jaka bluzka! — U kogóż to?

Pani Helena tłumaczy beztrosko, dzieli się adresem zaufanej krawcowej, a co do mieszkania? — ach, tak, już się urządziła i prosi wszystkie panie do siebie na wtorek, jak zwykle. — Mój jour fixe pozostaje niezmieniony, jak panie widzą — śmieje się lekko i z idealną swobodą. — Coś podobnego!

Panie są zdetonowane. Wszystkie przecież rozumieją dobrze, co taka kobieta musi teraz przeżywać, wszystkie z całego serca radeby jej przecież i pomóc, i okazać zrozumienie, a zapewnić, że ich dom jest jej domem o każdej porze dnia i nocy...

Ale ta „biedulka" wcale nie apeluje do ich czułych serc, wcale! Przeciwnie, rozpowiada o jakichś nowych dyjetach na cerę, o cudownych zaletach swojej nowej kucharki, o...

— A starą kucharkę pani odprawiła, nieprawdaż? — prowokuje niewinnie różowo - blond sędzina.

Pani Helena wytrzymuje to pytanie wręcz bajecznie, konkursowo! Zwraca ku sędzinie swe wąskie, nienagannie zrobione oczy i najnaturalniejszym na świecie tonem informuje:

— Postanowiłam, że na mojem nowem mieszkaniu wszystko będzie nowe; przyjęłam nową kucharkę, a teraz właśnie zamierzam sobie kupić nową sypialnię moderne.

Nie, tego już nadto! Panie omal nie syknęły. — Sypialka? o czemże ona zechce je tu jeszcze zawiadomić w ten swój arogancko — uprzejmy sposób? Może będzie im wmawiała, że do nowego kompletu mebli będzie także nowy adorator, co? Już i tak zbyt ostentacyjnie pojawia się wszędzie z tym młodym Teosiem. Taki chłopczyk, dziecko poprostu, wstyd!

Mój Boże, w pierwszej chwili człowiek skłonny jest do nieco jednostronnego ujmowania kwestji. Boć, jakie życie miał ten człowiek przy tak samolubnej kobiecie? Nic, tylko ona, cały dom to ona! On był wołem roboczym, niczem więcej... A jak się puszyła, jak przebierała w znajomościach...

Dystyngowana pani doktorowa Z. mówi: — Jej przesadna dbałość o formy i stopę towarzyską wydawała mi się zawsze grzeszna, egzotyczna nieledwie. Poco to tyle ambicji wkładać w coś, co jest tak bardzo, tak bardzo nieistotne...

Z tłustemi kolumnami ramion na poręczach fotela, trzeźwa i lapidarna, wdowa po dziekanie stawia wreszcie kropkę nad i. — Ten cały pozór, to blaga. Ona tak cierpi, że już przestała dbać o sobie, ot co!

Cierpi... Z właściwą sobie bystrością umysłu pierwsza wietrzy nową orjentację pani sędzina. Łagodzi: — No cóż, mój Boże, w tym wieku jest to nielada cios dla kobiety. Jakby nie było...

Panie milczą i każda wylicza sobie pośpiesznie: — stara, to raz, tyje, to dwa — mąż porzucił, trzy — dzieci dorosłe i zagranicą, cztery — samotność...

Wynik rachunku jest oczywisty i uspakajający. Że nosi się dumnie? cóż, trudno przecież wystawiać na pokaz ból i wstyd tak intymny... Panie rozumieją, panie współczują, panie wracają z formy „człowiek" na „gagatek" i decydują, że prędzej czy później Helena przyjdzie do nich, przyjdzie skruszona i z całym swym bólem, a wtedy...

Różowo — blond sędzina ociera sobie maleńką chusteczką brzeżek rzęs i grucha: — Przyniesiemy jej na nowe mieszkanie trochę kwiatów.

Okazuje się jednak, że na nowem mieszkaniu są już kwiaty, pełno kwiatów. Stoją, włożone umiejętnie w wazony, poustawiane bardzo dekoracyjnie, bardzo pomysłowo.

— Ślicznie pani wszystko urządziła — chwalą panie, a sędzina kręci się nerwowo z pokoju do pokoju, dotyka, próbuje, sprawdza, czatuje, wkońcu rozrzewnia się — czyż nie kobiece serce bije w jej piersi? — i tuląc się do wysokiej pani Heleny wznosi ku niej oczy, kunsztem salonów kosmetycznych urobione na „oczęta".

— Och, pani Helenko — woła — on wróci, do takiej żony jak pani, musi wrócić!

Lecz Helena odsuwa się od niej, może nawet zbyt gwałtownie i mówi zimno: — Nie urządzałam tego mieszkania z myślą o moim byłym mężu. To już skończony okres życia.

Nie liczyła? skończony okres? Świetny kawał! Bitych siedemnaście lat i „okres", co za pretensjonalność!... Czyżby nie rozumiała, że to już koniec, wogóle koniec?

Wysypują się na klatkę schodową zgrzane, szepczące, oburzone. Coś takiego!

Pani Helena żegna je uprzejmie, troszczy się o dopięcie futer, o windę, o wszystko. Wołą za niemi: — Więc umawiamy się na czwartek, tak? — Tak, tak — odkrzykują panie z ciemności schodów, coraz dalsze, coraz cichsze, teraz już wcale nie słyszalne... Helena jest sama.

Teraz do sypialni, do sypialni moderne.

Wśród kanciatych, obcych mebli, jeszcze pachnących nieprzytulnością sklepu i świeżej politury, naprzeciw dużego lustra siadła stara, zmęczona kobieta, której już teraz, o tej późnej godzinie nocnej ciszy nie chce bronić żaden róż i puder, żaden bałagan codzienności, żadna łaska życia.

Pani Helena przymyka oczy. Poco szukać rozgrzeszenia w myśli obwiniającej tylko jego, koniecznie jego? Poco wzniecać w sobie, jak w ostygłym popiele, jeszcze te ostatnie żużle tęsknot. — może jeszcze ciepłe, a może już nie?

Skończony okres życia... okres — jakżeż musiały delektować się tem jej dumnem słowem tamte rozkwakane, towarzyskie kurki... Bo w samotności i w prawdzie chwili można to przecież sobie uświadomić i powiedzieć: cóż znaczy realna prawda rozejścia się z mężem, wobec zatrwożenia się w duszy wszystkich pewników, wszystkich uświęceń, które stanowiły dotychczas kamienie węgielne istnienia, bytowania!

Pani Helena blednie widomie pod swoim maquillage'em. Katastrofie familijnej, w miarę banalnej i w miarę bolesnej, towarzyszy daleki, przytłumiony huk, rozbrzmiewający pod drugiem, innem niebem — groźnem i chmurami zasnutem, na które spogląda człowiek w rzadkich jeno chwilach samowiedzy wewnętrznej. To tam się coś naprawdę stało, to tam się coś naprawdę łamię, pęka i rozpada w gruz.

...A już jej się chwilami zdawało, że się ułoży, przycichnie, pogodzi, że prześlizgnie się przez cierpienie, jak wąż przez skalną szczelinę i wydostanie na grunt pewny, na światło...

Lecz nie, to się nie da zrobić. Widocznie rzeczywistość i proza faktów, same przez się do wytrzymania, rzutują się jeszcze w jakieś dalsze, nawpół tylko znane, nawpół tylko uświadomione pokłady duszy i tam dopiero rozpłomieniają się ogniem wielkim i pożerającym... Helena pochyla głowę — jak ciężko...

Ale nagle, czyżby dzwonek, jeszcze dzwonek?

Otwiera sama. We drzwiach stoi różowo - blond zdyszana pani sędzina — Zapomniałam — grucha przepraszająco — rękawiczki, lewej rękawiczki...

Krygując się i przepraszając „stokrotnie" pani sędzina dziobie tymczasem wyostrzonem spojrzeniem ciemną głąb mieszkania. Czyżby rzeczywiście nie czekała na tego Teosia, czyżby to tylko plotka?...

Jak kolorowy motyl, w pudełko od zapałek schwytany, wpadła już jednak w blond główkę myśl druga, łechcąca i niecierpliwa.

— Widziałam ją... no, wie pani... Pokazano mi ją. Jakaż ona brzydka. A w dodatku, jak źle ubrana!! Zyskała pani, doprawdy, jaknajwdzięczniejsze tło, pani Heleno.

Sędzina przechyla główkę, śledząc spod oka efekt swych słów. Teraz chyba rozjaśni się trochę, no nie?

Ale Helena stoi, zamieniona w posąg bez życia i nerwów. A wkońcu jeszcze powiada impertynencko: — Więc jednak ta rękawiczka?

Pfi, naturalnie, dobranoc! — cóż ona sobie myśli, że zmartwienie, no... bo ma zmartwienie, powiedzmy nawet: wielkie zmartwienie, — że to uprawnia do uprzejmego wypraszania za drzwi ją, która tu przecież tylko z dobrego serca... To trudno, zawsze taka była: impertynentka, która nakazała sobie uprzejmość. I ostatecznie, czegóż to właściwie tak wielkiego dokazała? Nawet męża nie potrafiła utrzymać!

Przed bramą, w aucie, czeka niecierpliwie wdowa po dziekanie. — No i co? — pyta, wysadzając przez opuszczone okno tłustą szyję.

— Niewyraźnie — odpowiada z nazłoszczoną brewką pani sędzina — było wprawdzie cicho i ciemno, ale żeby

Wytworne krawiectwo męskie
H. LIPSZYC
Gmach Opery — Pod Filarami

o tej porze jeszcze trzymać służącą poza domem? Coś w tem...

Auto z cichym sykiem ruszyło.

Pani Helena, oparta rozpalonem czołem o szybę, słyszy jak auto toczy się na miękkich resorach, okrzykuje się ostrzegawczo trąbką na zakręcie, a potem skręca gdzieś w bok, w inne ulice, w dalekość...

— Zatrzymać ten milknący dźwięk — myśli się nagle pani Helenie, czyż to nie tak, jakby zatrzymać się chciało na własne posiadanie życie obce i czyjeś, okazuje się, przecież tylko czyjeś, choć i mężowskie?...

Zakochał się — skandują myśli nienawistne słowo... — Zakochał się, czyli: przeżywa poraz wtóry to, co ona sama przed dawnemi laty, dawnemi, raz jeden — z nim...

Jest więc o tyle młodszy, silniejszy, bogatszy? Nie ona — a on? Rozwinął skrzydła tuż ponad progiem starości, podczas gdy ona porzuciła swą młodość, jak ten w dal miasta uciekający dźwięk trąbki porzucił przed chwilą jej dom, jej ulicę, krąg jej słyszenia...

Pani Helena, cała zziębnięta, wsuwa się do wielkiego, zimnego łóżka moderne. Myśli głośno:

— Nazywa się opuszczona, starzejąca się żona z pretensjami, a jest, jest naprawdę?

Oko, przywykłe do ciemności, zaczyna z niej wyławiać wielorakie, przytłumione, inne niż za dnia kształty pokoju.

— To właśnie to — chwyta jeszcze pani Helena już ukołysaną do snu myślą, — że było życie spokojne i jasno określone, jak dzień; przyszło nieszczęście i w jego mroku zarysowało się odrazu wszystko inaczej, odmienniej, w innej prespektywie. I teraz trzeba tłumaczyć wszystko — niewiadomo — językiem dnia, czy nocy?....

Pani Helena już śpi...

Lecz oto w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy ktoś zapalił światło. Wąski refleks zabłąkał się aż do ciemnej, nowej sypialni, odnalazł łóżko moderne i padł na twarz śpiącej.

A na tej twarzy, ponad czołem twardem i jeszcze młodem, ponad kroplą samotnej łzy, zastygłej na policzku, wśród zawiłej, linjami zmarszczek poplątanej drogi zwiotczałych ust, kwitł mały, gorzki uśmieszek — pierwszy, przydrożny kwiat starości...

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

ŚWIAT FILMU

„Szampański walc" Światowid

„Szampański walc" — szampański film. W lekkiej wesołej komedii, przepełnionej piękną muzyką — cudnemi walcami Johanna Staussa — wśród roztańczonego tłumu przewija się subtelna intryga miłosna przeżywana z ujmującym wdziękiem przez czarującą parę kochanków, Freda Mac Murray'a, znanego publiczności polskiej z wielu świetnych filmów Paramontu: „W cieniu samotnej sosny", „Ręce na stole" i ostatnio „Concertiny" — i nowego nabytku tejże wytwórni, przemiłej Gladys Swarthout, partnerki Kiepury z filmu „Pieśń miłości".

Od owego czasu Gladys Swarthout uczyniła ogromny krok naprzód. Dzięki lepszej, staranniejszej charakteryzacji, jej miła uroda wyszlachetniała, czysty dźwięczny mezzo-sopran, którym hojnie szafuje, pełen jest nieuchwytnego czaru bezpośredniości i ciepła. Piękne toalety, swoboda w obcowaniu z obiektywem i szczera, bezpretensjonalna gra zjednują jej rzesze zwolenników.

Muzykalność i wdzięk Mac Murray'a w zestawieniu z miłym czarem młodej śpiewaczki stwarzają wymarzoną zakochaną parę komedii muzycznych.

Umiejętne operowanie kontrastami, ciekawe splecenie dwóch krańcowości muzycznych — walców Staussa z rozszalałym amerykańskim jazzem, stwarza nieoczekiwane efekty harmonizacji. Przedstawienie tych dwóch różnych stylów nietylko w muzyce, ale i w życiu, przeplecenie akcji zabawnymi momentami obyczajowymi, wydobycie maximum efektów zarówno komicznych jak i lirycznych, stwarza tętniącą życiem komedię muzyczną, przewijającą się w oszałamiającym tempie przed oczami widza, pełną nieoczekiwanych sytuacyj i zagmatwań, rozwiązującą się w sposób naturalny i miły.

Piękna, bogata oprawa dekoracyjna, przepych olśniewających toalet, plastyka scen tanecznych i porywający kuszący walc oddziaływują na wyobraźnię widzów, wprowadzając ich w ów beztroski nastrój, w radosny rytm tańca.

Czarujący Fred Mac Murray i znakomita śpiewaczka, przemiła Gladys Swarthout pod bijają serca widowni w „Szampańskim walcu" wyświetlanym w kinie „Światowid"
fot. Paramount.

Świetne malarsko przeciwstawienie posuwistego, i wytwornego walca z balu dworskiego przed wojennego Wiednia i drgającego charlestonem dancingu, połączenie w harmonijną całość walca smyczkowej orkiestry z synkopowanym rytmem jazzu, stanowią ciekawe technicznie fragmenty filmu.

Z wykonawców ról drugoplanowych należy wymienić świetnie ucharakteryzowanego aktora, odtwarzającego postać Johanna Straussa, bezpretensjonalnego, typowo amerykańskiego komika Jackie Oahie i świetny duet taneczny: Velor i Yolanda, może mniej wszechstronny i żywiołowy od znanej pary Fred Astaire i Ginger Rogers tem niemniej bardzo ciekawie interpretujący swe dwa numery taneczne.

Interesujący montaż, doskonałe technicznie zdjęcia, prosta, ujmująca gra pozwalają nam spędzić cudowne dwie godziny w nastroju pogodnej zabawy, opromienionej pięknym rytmem walca.

Nadprogram barwny film Warner Bros „Zmiana warty" obfituje w miłe muzycznie i wzrokowo momenty, choć błaha treść i niewidoczne napisy pozostawiają wiele do życzenia. *J.*

Glejt żelazny „OLLA" Gum..?
niezawodnie chroni Pana

WYTWORNY PUDER GELOBIL WARSZAWA KREM ODŻYWCZY

ŚWIAT FILMU

Katarzyna Hepburn — wielka tragiczka ekranu w niezwykle ciekawej roli z filmu „Sylvia Scarlett".

Tola Mankiewiczówna o swoim filmie

— Czemu pani grywa obecnie tak mało?

„Czekałam na film, któryby mi umożliwił postawienie kroku naprzód w mojej pracy dla srebrnego ekranu.

Widzi pan, praca artysty, będąca bardziej, niż jakakolwiek inna praca, przedmiotem bezpośredniej obserwacji widza, rozwija w nas, ludziach sceny i ekranu, silne, nurtujące ambicje, dążenie do dania ze siebie czegoś lepszego niż to, co się dawało dotychczas.

Dlatego nie rzadko rezygnuję z proponowanych mi ról.

W filmie p. t. „Pani Minister tańczy", w którym obecnie gram i śpiewam, tym moim jedynym tegorocznym obrazie, znalazłam właśnie warunki pracy, które sprzyjają moim dążeniom — ciągnie urocza artystka. — I choć wysiłek, jaki wzięłam na swe barki, jest wielki, czuję się zadowolona."

Katarzyna Hepburn w roli zbuntowanej

Długo trwało, nim Katarzyna Hepburn — niewątpliwie najciekawsza dzisiaj aktorka Ameryki zdobyła w Polsce popularność. Pierwszy jej film „Małe Kobietki", który w całym świecie szedł z niesłychanem powodzeniem, który ustalił nowe rekordy kasowe nietylko w Ameryce, ale i w Europie, który w Nowym Jorku, jako pierwszy od czasu istnienia filmu, przekroczył tygodniową „kasę" 100.000 dolarów, który w Paryżu, jako pierwszy film od czasu istnienia filmu szedł ponad 6 miesięcy, — w Polsce przepadł z kretesem. Jest to tem mniej zrozumiałe, że przepadł nie tylko w opinji publiczności, ale nawet w opinji krytyków, którzy nie umieli doszukać się w nim jego prawdziwych wartości. Na skutek tego szereg dalszych filmów Katarzyny Hepburn nie zjawił się w Polsce. Następnym jej filmem, który oglądaliśmy na naszych ekranach był film „Należę do ciebie" z Charles Boyer'em. Film o dużych wartościach artystycznych, doskonale grany, świetnie reżyserowany, pod względem muzycznym stojący na najwyższym poziomie, stanowił już pewien przełom, a jednak był był jeszcze daleki od sukcesu. Dopiero przy trzecim filmie Katarzyny Hepburn — przy filmie p. t. „Mam 19 lat" — skromnym, niewystawowym, małym filmie z życia codziennego, polska publiczność przekonała się do tej wielkiej „gwiazdy gwiazd" Dopiero ten ostatni film zdobył Katarzynie Hepburn w Polsce najwyższe uznanie.

Jak nam donoszą z Hollywood, w ostatnich dniach odbył się pierwszy pokaz nowego filmu Katarzyny — filmu p. t. „Zbuntowana".

Krytycy piszą, że Katarzyna nigdy dotąd nie występowała w roli tak bardzo odpowiadającej jej charakterowi.

Postać bohaterki interpretowana przez nią jest tak głęboko ludzka, i jak wyrażają się amerykańscy krytycy, tak dla wszystkich sympatyczna, że niewątpliwie Katarzyna Hepburn rolą tą przeciągnie na swą stronę tę ostatnią, już niewielką garstkę swoich przeciwników. W filmie występuje obok niej Herbert Marschall, Elisabeth Allan i Donald Crips. Reż. Mark Sandrich.

Tola Mankiewiczówna w filmie „Pani Minister tańczy".

RĘCE
GŁADKIE i BIAŁE JAK ATŁAS, BEZ ZMARSZCZEK i ZACZERWIENIEŃ, ZAPEWNIA NIEZAWODNIE ZMIĘKCZAJĄCY i WYBIELAJĄCY NASKÓREK
krem PRAŁATÓW
PERFECTION

Antyseptyczność
Pudru BEBE SZOFMANA
została stwierdzona przez profesorów medycyny uniwersytetów polskich i w drodze naukowej analizy bakteriologicznej.

DAN-CING PARADIS NOWY-ŚWIAT 3

W programie lutowym występują: 1) Marussia NICANDROFF, 2) Erzsi PALOTAS — artystka węgierska, 3) Wiera GRAN — polska pieśniarka, 4) Celina CESARSKA — polska tancerka, 5) Siostry SZELLÓWNY — polskie tancerki, 6) Ulubieńcy Warszawy — GOLD i PETERSBURSKI. Została wprowadzona ulgowa konsumicja. Zamiast zł. 2.50 — tylko zł. 1.50, wyłącznie dla Gości przybywających między godz. 10-tą a 11-tą wiecz., z prawem pozostania przez całą noc. W sobotę zł. 2.50. Codziennie od godz. 6 p. p. — do 10 wiecz. podwieczorki taneczne. Konsumicja w dni powszednie zł. 1.15, w czwartki i soboty — zł. 1.30.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa

R